WIENIEC

PISMO POSWIECONE

LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie,
Tych wonią serca pieszczę, tych się barwą zdobię.

Rok drugi, Tom IX

MIESIĄC GRUDZIEŃ

WARSZAWA

1840.



Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



PRZYJACIEL

PANA DE FORBIN.

I.

Dnia 27 Lipca 1688 roku, posępny dwór Ludwika XIV ożywił się nagle, jakby wstrząśnięty iskrą elektryczną; najzimniejsze i najbardziéj obojętne twarze nabrały życia, i przedpokoje napełniły się wcześniéj jak zazwyczaj. Pani de Maintenon udała się do króla, i nawet oj-

ciec Lachaise, którego nie widywano w Wersalu, przecisnął się przez tłumy dworzan, aby się dostać do króla. Jakkolwiek obecność spowiednika była nadzwyczajną, mianowicie wśród dnia, przeciwko zwyczajowi jezuity, nikt jednak się nie dziwił. Każdy przejęty ciekawością tłumaczył sobie łatwo ciekawość innych, i wszyscy przekonani byli, iż w wypadku tak nadzwyczajnym, wszelkie reguły i przyzwyczajenia ustępują, chociażby jak najgłębiéj wkorzenione były.

Gdy ojciec Lachaise wszedł do gabinetu królewskiego, Ludwik XIV przechodził się z niecierpliwością po salonie, w którym p. de Maintenon i wszyscy członkowie rodziny królewskiéj byli zgromadzeni. Wiek i zmartwienia głębokie ślady pozostawiły na twarzy monarchy, zwiędłéj, ogorzałéj i zmarszczkami pooranéj; widać w niéj było jednak wspaniałość, która w młodości była główną cechą jego charakteru; lecz to słabe odbicie przystałoby raczéj posągowi grobowemu, niżeli żyjącéj istocie. W czarniawéj cerze jego twarzy, w ciemnych,

głęboko zapadłych, szklannych oczach jego było coś takiego, co przypominało balsamowanie. Pani de Maintenon śledziła bacznie spojrzeniem wszystkie poruszenia króla; monarcha przechodził się po pokoju tam i napowrót, jakem to powiedział, i z niecierpliwością spoglądał na wspaniały zégar, stojący na małym stoliku z miedzianemi ozdobami, naprost kominka. Zégar ten przedstawiał pewien rodzaj pałacu ze słoniowéj kości i złota, wśrodku którego była postać króla na koniu. Skoro skazówka oznaczyła dziesiątą godzinę, niewidzialne dzwonki zagrały starą pieśń *O prześlicznéj Gabrjeli*, ułożoną przez Lulli, a przypisaną nie wiem dla czego Henrykowi IV, i jenjusz miedziany, poruszany wewnętrzną mechaniką, pokazał się w tym samym czasie nad małym pałacem, przysunął się aż do monarchy i złożył koronę złotą na szerokiéj perucé posągu królewskiego. Poczém zégar wybił dziesiątą i jenjusz ukrył się we wnętrzu pałacu.

Król zatrzymał się przed zégarem. dla przypatrzenia się machinalnie téj igraszce; lecz

wkrótce zaczął znowu swą przechadzkę po pokoju w milczeniu, którego nikt z przytomnych przerwać nie śmiał. Ciągle w ruchu, podług swego zwyczaju, przystąpił do jednego z okien, które było zamknięte i firankami zasłonione, z przyczyny wielkiego upału i mocnego działania słońca. Pociągnął za sznur od firanki, z grubéj, złotem tkanéj materji, i otworzył obiedwie połowy okna, nie troszcząc się wcale, że gorące promienie słońca padały prostopadle na głowę pani de Maintenon. Zaczął znowu chodzić tam i napowrót. Pani de Maintenon bardzo skłonna do cierpienia na głowę, którą upał nabawiłby niechybnie słabości, spojrzała z trwogą na księdza Lachaise, nie śmiała jednak ruszyć się z miejsca, dla schronienia się w ocienioną część salonu. Spowiednik zrozumiał przykre położenie téj, którą zaślubił potajemnie z królem, nie odważył się przecież na to śmiałe postanowienie aby zasunąć firankę, lub przynajmniéj poprosić królowę, aby nie chciała narażać się na niebezpieczne działanie słońca, gdyż król nie pozwalał ani na krok oddalać się od surowych

przepisów etykiety. Nakoniec, widząc że pani de Maintenon już bladła i naprożno siliła się przezwyciężyć spazmatyczne cierpienia, przedsięwziął heroiczny zamiar, to jest, postanowił umieścić się za nią, i zasłonić ją swą osobą, z niebezpieczeństwem swéj łysej głowy. Gdy się przysuwał do okna, dla wykonania tego czynu heroicznego, dało się słyszeć szemranie w przyległym salonie, które wkrótce rozeszło się nawet pomiędzy osobami otaczającemi Ludwika XIV. Szemranie to mocno obudziło ich ciekawość, i podwoiło niecierpliwość oczekiwania. Król sam nie mógł już dłużéj wytrzymać, obrócił się do służącego, który stał przy drzwiach, i rzekł:

— Bontemps, wydaj rozkaz odźwiernym, aby natychmiast wprowadzili pana de Forbin.

Pierwszy to raz Król przyśpieszył tak dalece godzinę audjencji! Bontemps wykonał rozkaz; odźwierni otworzyli podwoje, i dziarski młodzieniec, ubrany wytwornie, wszedł i rzucił się do nóg królowi, który z dobrocią dał mu znak, ażeby powstał.

— Panie de Forbin, rzekł król, z przyjemnością oglądam cię znowu, i jestem zadowolony ze sposobu, jakim mi służyłeś.

— Szlachcic ciągle na kolanach, odpowiedział:

Najjaśniejszy panie, życie moje i moja szpada do ciebie należą, i zawsze będę się uważał za szczęśliwego, gdy je będę mógł poświęcić na twoje usługi.

— Podnieś się pan, rzekł Król z uśmiéchem; wielki admirał królestwa Siam nie powinien zostawać dłużéj w takiéj postawie.

— Najjaśniejszy panie, odpowiedział szlachcic, dzięki Bogu, tytuł który mi dajesz, nie należy już do mnie: noszę inny, mniéj szumny, którym bardziej się jednak szczycę, to jest tytuł kadeta marynarki W. K. Mości.

— Pan nie jesteś już wcale kadetem marynarki, lecz porucznikiem jednéj z moich fregat, przerwał Król, oznajmując w ten sposób tytuł i łaskę udzieloną panu de Forbin.

Ten ukłonił się aż do ziemi, dziękując Ludwikowi XIV.

— Teraz, panie poruczniku fregaty, pomów wiemy cokolwiek o państwie Siam, zkąd właśnie przybywasz, i gdzie byłeś przez trzy lata w służbie króla tego kraju; możesz mi opowiedzieć liczne szczegóły o obyczajach, stosunkach handlowych, a mianowicie o postępie naszéj świętéj religji w tych okolicach.

— N. Panie, rzekł śmiało szlachcic, obyczaje tego kraju są dzikie, pełne przesądów i niewiadomości; stołeczne miasto królestwa Siam nie warte najbiédniejszego miasteczka Francji, składa się tylko z gromady chałup z trzciny. Co się zaś tyczy naszéj świętéj religji, to ona bardzo małe czyni postępy w tym kraju.

— Moi więc ministrowie pobłądzili wysyłając ambasadę do Siam?

Lecz gdy szlachcic wahał się.

— Odpowiedz pan! dodał król surowo.

— N. Panie, oni byli w błąd wprowadzeni chytrością pierwszego ministra króla Siamskiego, przebiegłego portugalczyka, nazwiskiem Constance, który chcąc zjednać sobie wszystkiemi

siłami opiekę WKMości przeciwko Anglikom i Holendrom, starał się powiększyć ważność królestwa Siam w oczach ministrów WKMości. Jakżeby oni, z tak daleka, nie mieli dać się uwieść, kiedy ja, który na miejscu byłem, niepotrafiłem uchronić się zręcznéj jego zasadzki, i zobowiązałem się służyć jego zamiarom, wzamian za tytuł godny śmiéchu, admirała floty, która nie istniała wcale. Nadto, ministrowie WKMości widzieli w téj ambasadzie nadewszystko środek rozkrzewienia naszéj świętéj religji w tym kraju; oni nie mogli przewidzieć, że Constance, który żądał przysłania missjonarzy, sam będzie niweczył usiłowania tych czcigodnych księży.

Po takiém usprawiedliwieniu ministrów, za które spodziéwał się ich wdzięczności, pan de Forbin skierował rozmowę do innego przedmiotu, i zaczął opowiadać mnóstwo ciekawych szczegółów o obyczajach mieszkańców kraju Siam.

— N. Panie, rzekł, czyniąc treść swego dowcipnego opowiadania, jednem słowem, kró-

lestwo Siam nic prawie nie wydaje i nic nie zużywa.

— Otóż to jest, co nazywamy, w kilku słowach wiele powiedzieć, rzekł król zadowolony. A powrót pana czy był szczęśliwy? czy w nim zaszły jakie ciekawe wypadki? czy groziły ci jakie niebezpieczeństwa?

— N. Panie, jeżeli w królestwie Siam ciągle mi niebezpieczeństwa groziły, gdyż pierwszy minister usiłował mię otruć, i wydawał niepodobne do wykonania rozkazy, w których życie moje było narażone, równie i w powrocie do Francji, los nie przestał mię prześladować. Kiedy byłem w Pondicheri, powiadano mi że ten naród bałwochwalski ma o milę za miastem sławną świątynię, w któréj co rok obchodzony bywa jeden dzień uroczyście, na cześć głównych bożków. Lud zgromadza się tam tłumami ze wszystkich okolic i ja poszedłem powodowany ciekawością. Po długich obrzędach, które mi opowiedziano, gdyż sam nie mogłem wejść do świątyni, wynieśli bożka i boginię, na cześć których obchodzono tę uro-

czystość. Te bożyszcza są to olbrzymie figury, mocno złocone; postawili je na wozie o czterech kołach, jedno naprzeciwko drugiego. Bogini, na przodku wozu, wyobrażona była w nieobyczajnéj postawie, i bożek także nie bardzo był przyzwoitszy.

Wóz ten ciągniony był za pomocą lin, przez 200 lub 300 ludzi. Niezliczone mnóstwo ludu, rzuciło się twarzą na ziemię, i wydawało okrzyki radości, rozlegające się po polach. Niektórzy, wprostocie ducha, rzucali się pod koła wozu, widząc w tém szczęście swoje, iż mogli złożyć świadectwo swego uszanowania dla bożka, ofiarując się na zgruchotanie.

Skoro się ten obrządek ukończył, ujrzałem wiele mężczyzn i kobiét, którzy tarzając się po ziemi, okrążali w ten sposób naokoło świątynię; spytałem się, dla czego sobie tak ciało kaleczą, gdyż oni byli nago, przykryci tylko płóciennym fartuchem od pasa do kolan; odpowiedziano mi, iż nie mając dzieci, spodziéwają się przez taką pokutę przebłagać bożków, którzy ich potomstwem obdarzyć raczą. To

est wszystko, co mogłem się dowiedzieć o téj uroczystości, gdyż, jakem to powiedział, nie wpuszczono mię do świątyni, gdzie tylko sami bałwochwalcy są przypuszczeni.

Po dwóch dniach powróciłem tam jednak; stanąłem przed drzwiami, koło mnie siedmiu innych Francuzów, życzących sobie także wejść do świątyni. Naczelnik braminów zabronił nam wejścia pod pozorem, że nie wolno jest chrześcjanom kazić tego miejsca swą obecnością. Gdy nam dał taką odpowiedź, nie wdając się w dalsze rozprawy, przystąpiłem do niego, wyrwałem mu puginał, który miał za pasem, i grożąc ostrzem, powiedziałem, że go zabiję na miejscu, jeżeli nas nie wpuści; nie trzeba go było namawiać do ucieczki. Natenczas weszliśmy do świątyni; w tym obszernym budynku znajdowało się niezliczone mnóstwo bożków rozmaitéj wielkości, lecz wszyscy w nieprzyzwoitéj postawie.

Gdyśmy zajęci byli przypatrywaniem się, bramin, obrażony wyrządzoną zniewagą, rozszerzył trwogę po okolicy, i zgromadził prze-

ciwko nam przeszło 300 ludzi; lecz ten bojaźliwy naród tak się przestraszył, gdy ujrzał nas z ognistą bronią, iż nie było pomiędzy nimi ani jednego, tak śmiałego, żeby się do nas odważył przybliżyć.

Prawie w tym samym czasie okręt kompanii indyjskiéj miał rozwinąć żagle do Massulipatan, miasta sławnego handlem; a ponieważ okręty francuzkie nie prędko miały jeszcze przybyć, postanowiłem zabrać się tym okrętem, w zamiarze dostania się z tego miasta do Golkondy, która ztamtąd tylko 30 mil jest odległą. Wielki Mogoł oblegał to miejsce, ciekawy byłem bardzo przypatrzyć się, jakim sposobem te ludy prowadzą wojnę, i jak się szykują do oblężenia; lecz nie było w mojéj mocy wykonanie tego zamiaru, jak to się można przekonać z tego, co opowiem.

Odjazd nasz nastąpił w téj porze, w któréj panują wiatry zachodnie, to jest w najprzyjaźniejszéj porze roku do żeglugi; odbyliśmy drogę w kilku dniach szczęśliwie. Już byliśmy tylko o siedem mil od Massulipatan,

gdy przedstawił się naszym oczom czarny, gęsty obłok, od strony lądu; wszyscy sądzili, że to chmura przepowiadająca burzę. Żagle zwinięte zostały natychmiast z obawy nieszczęśliwego wypadku. Nareszcie przybył obłok na pokład z bardzo małym wiatrem, a za nim niezliczone mnostwo wielkich much, prawie takich samych, jakie widujemy we Francji, co składają zarodki robaków w mięsie, wszystkie miały brzuchy fioletowe; one tak prześladowały całą osadę, iż każdy chociaż na chwilę ukryć się musiał. Całe morze było niemi pokryte, a na okręcie takie było ich mnóstwo, że dla oczyszczenia, trzeba było przeszło 500 wiader wody.

Prawie o ćwierć mili od Massulipatan, ujrzeliśmy jakby mgłę, ktora zakrywała całe miasto W miarę naszego przyblizania się, mgła coraz bardziéj się rozwijała, i wkońcu okazywały nam się tylko same szczyty gór, które służyły sternikom za punkt kierunku. Po zupełném zbliżeniu się, rzecz cała się wyjaśniła; tym obłokiem było niezliczone mnóstwo much, zupełnie różnych od poprzednich, one miały po cztery

skrzydła i podobne były zupełnie do tych, jakie widujemy nad brzegami wód, z ogonem kratkowanym czarno i żółto.

Im daléj postępowaliśmy, liczba tych owadów coraz się powiększała i takie ich było mnóstwo, że nie można było widzieć lądu i byliśmy przymuszeni gruntować ciągle ołowianką, aby nie stracić kierunku. W pewnéj odległości kazał sternik zarzucić kotwicę. Natenczas komisant kompańji, nazwiskiem Delant, który miał polecenie zwiedzić kantor, wsiadł do łodzi, kapitan okrętu i ja przyłączyliśmy się do niego. Ilość tych much była tak wielka, że trzeba było wziąść z sobą bussolę, aby nie chybić lądu, który nam one zakrywały zupełnie; nareszcie wylądowaliśmy.

Ponieważ w porcie nie było nikogo, ci z pomiędzy nas, którzy znali miasto, służyli za przewodników i zaprowadzili nas do komory celnéj. W otwartém biurze nie było nikogo; weszliśmy jednak, lecz przebiegłszy wszystkie pokoje, nie znaleźli ani jednéj żywéj istoty. Zdziwieni tym nadzwyczajnym wypadkiem, udali

śmy się w stronę miasta, gdzie znajduje się kantor kompańji wschodniéj, lecz na ulicach nawet nie widać było nikogo. Taka samotność panująca w mieście, równie jak i nieznośne wyziewy, które czuć się dały, wytłumaczyły nam wkrótce, o co rzecz chodzi.

Po długiém chodzeniu stanęliśmy przed domem kompańji. Drzwi były otwarte; znaleźliśmy tam dyrektora umarłego, zapewne niedawno, gdyż ciało jego było zupełnie nienaruszone; dom był zrabowany i wszystko w największym nieładzie. Przerażony takim widokiem, powróciłem na ulicę i rzekłem do pana Delanne:

— Powróćmy na pokład, nie ma tu co więcéj robić.

On mi odpowiedział, że zlecenie jakie odebrał zobowiązywało go, aby się udał daléj; bo mając zdać sprawę z swéj podróży, nie mógł powrócić na pokład nie mówiąc z kimkolwiek, coby go mógł zawiadomić dokładniéj o przyczynach takiego nieporządku.

Szliśmy więc daléj, naprzód do kantoru angielskiego; ten był zamknięty: napróżno sztukaliśmy, nikt nie odpowiadał. Ztąd poszliśmy do holenderskiego; ze składających go 24 osób pozostało tylko 14; i te podobne były raczéj do trupów aniżeli do ludzi. Ci nam powiedzieli, iż zaraza przyprowadziła miasto do takiego stanu, że większa część mieszkańców wymarła, a reszta schroniła się po wsiach, że o kantorze francuzkim nie mogą nam dać wcale objaśnienia, gdyż o nim żadnéj nie mieli wiadomości.

W tak nieszczęśliwém położeniu miasta, niepodobieństwem było znaleźć statek, któryby mógł mię przewieść do Golkondy, musiałem więc wybić sobie z głowy oblężenie. Powróciliśmy na pokład opowiedzieć to, cośmy widzieli i słyszeli. Rozwinięto natychmiast żagle, i niebawiąc się dłużéj, udaliśmy się w drogę do portu Mergui, który należy do państwa Siam. Z żalem musiałem przystać na powrót do tego kraju, zkąd zaledwo z taką trudnością udało mi się wydostać. Lecz ponieważ port ten był od

legły przeszło o 100 mil od stolicy, a nadto znajdowałem się na francuzkim okręcie, sądziłem, iż mogłem nie obawiać się złych zamiarów p. Constance.

Trzeciego dnia po odjezdzie z Massulipatan, kilku majtków z téj szalupy, któréj użyliśmy do zwiedzenia miasta, zasłabło. Przyczyna ich słabości była niepewna. Chirurg, sądząc że to gorączka, krew im puścił. Nazajutrz, ja sam dostałem gorączki, lecz niepozwoliłem aby mi krew puszczono. Wszyscy inni majtkowie z téj samej szalupy zasłabli także; puszczono im krew tak jak pierwszym, i jedni i drudzy poumiérali w kilka dni potém.

Jednakże gorączka ciągle mię dręczyła, a do tego mocne poty tak mię osłabiły iż zaledwie mówić mogłem. Wzrok mój nawet osłabł tak dalece, iż nie mogłem wcale prawie rozróżniać przedmiotów. Na domiar nieszczęścia zaczęło nam brakować zapasów żywności, i nie było z czego na okręcie zrobić rosołu; gdyż w Pondiszery nie mogliśmy się dostatecznie zaopatrzyć, z przyczyny wielkiego niedostatku, jaki w tém miescie panował.

Nigdy nie znajdowałem się w przykrzejszém położeniu. Nie wiedząc, jak sobie począć w tym razie, kazałem młodemu niewolnikowi, rodem ze Siam, który ciągle przy mnie zostawał, aby mi przyniósł trochę wina perskiego; wypiłém go prawie pół szklanki i mocno usnąłem. Obudziłem się po kilku godzinach. cały w potach, lecz zdawało mi się iż wzrok mój wzmocnił się cokolwiek. Wypiłem mego lékarstwa całą szklankę; zasnąłem powtórnie i obudziłem się jeszcze w potach, lecz czułem, iż siły mi powracały. Widząc iż lékarstwo skutkuje, zażyłem go trzeci raz, i zjadłem kawałek biszkoktu, maczając go w winie. W ten sposób léczyłem się przez kilka dni, i nareszcie gorączka opuściła mnie zupełnie.

Tak dalece, N. Panie, że oto powróciłem do Francji, nie posiadając żadnych innych skarbów, jak tylko mój ubiór wielkiego admirała państwa Siam, który wart przeszło 300 pistolów. Lecz otrzymałem za wszystkie doznane cierpienia taką nagrodę, jaką chętnie

okupiłbym życiem moiém, gdybym się kiedykolwiek ośmielił spodziéwać, iż na nią zasłużyć mogę, to jest szlachetne dowody monarszego zadowolenia W. K. Mości.

— Panie de Forbin, rzekł Król, który słuchał tych szczegułów z widocznem zajęciem, jestem zadowolony z twego postępowania, i wydam polecenie panu de Seignelai aby powierzył ci dowództwo jednéj fregaty. Jesteśmy w wojnie z Holendrami i Anglją; mam prawo spodziéwać się iż będziesz nam służył w taki sposób, że zasłużysz na tytuł kapitana, po skończeniu kampanji.

— Żegnam cię panie wielki admirale, dodał król z uśmiéchem.

Szlachcic wyszedł, a każdy mu nadskakiwał, winszował, i oświadczał się ze swą przyjaźnią; gdyż nie tylko ciekawość obudzał w nich ten człowiek, przybyły z tak dalekich krajów, lecz widzieli nadto z jego twarzy, jak on był przyjęty od Króla. Pan de Forbin, nie wiele zważając na te przymile

na dworu, udał się do ministra, pana de Seignelay, opowiedział mu znowu swoje przypadki, odebrał od niego patent na porucznika fregaty wraz z dowództwem zbrojnego statku o dwudziestu działach, i wyjechał nazajutrz do Dunkierki.

II.

Chcąc udać się z Paryża do Dunkierki, pan de Forbin kazał przyprowadzić konie poczto- we, i polecił swemu służącemu, aby jechał przed powozem, w celu przyspieszenia na stacjach zmiany koni. Ostrożność ta była konieczną, kiedy kto chciał jechać z niejakim pospiechem,

zwłaszcza w owéj epoce, w któréj służba pocztowa była tak nieregularną. Służący ten nazywał się Antoni Ferou. Urodzony na południu Franeji, posiadał gadatliwość Gaskończyka, nie mając jego przebiegłości. Kiedy mówił, nic mu się trudném nie zdawało, i wzruszyłby ramionami z podziwienia, gdyby kto chciał powątpiéwać że on zdolny jest zrucić księżyc na ziemię. W działaniu zaś, wszystko co przedsiębrał, nie powodziło mu się; posiadał w wysokim stopniu nieszczęśliwy dar robienia wszystkiego nie w porę, i zwykle ustawał w największéj potrzebie, z powodu, iż nie słuchał rozkazów, jakie mu były dane, lecz chciał się zawsze popisać z swym własnym rozumem. Pan de Forbin, chociaż nie raz uskarżać się musiał na jego niezręczność, trzymał go jednak przy sobie, gdyż uważał go za człowieka wiernego, przywiązanego, i doświadczonéj odwagi. Antoni Ferou tak często i tak wiele opowiadał o swéj waleczności, że pan nareszcie uwierzył jego słowom, gdyż żaden chrześcjanin nie pozwoliłby sobie nakłamać tyle niewyczerpa-

nych powieści o pojedynkach, utarczkach, bitwach, na lądzie i morzu, które Antoni opisywał jako naoczny świadek, chyba tylko, gdyby obchodził się z prawdą jak ojciec wszystkiego złego na tym świecie, wynalazca kłamstwa. Pan de Forbin rozkazał tedy swemu służącemu, aby jechał naprzód, i gdy chciał dać mu jeszcze potrzebne objaśnienia, Antoni zawołał iż już wszystko dobrze rozumie, i nie czekając dłużéj, ruszył galopem. Jego piękny zapał trwał około dziesięciu minut; przez ten czas ściskał konia ostrogami, mordował biédne zwierzę i klął co się tylko zmieściło. Lecz zaledwie przybył do pierwszego domu wioski Villete, zrobił spostrzeżenie, że siodło jest zatwarde i że upał lipcowy zanadto mu dogrzewa głowę. Chcąc więc zapobiedz tym dwom okropnym okolicznościom, osądził, iż najlepiéj będzie wstrzymać cokolwiek konia, otrzyć sobie czoło i wstąpić do pierwszéj karczmy, aby orzeźwić się jedną szklanką wina, a nawet dwiema; trzymał już trzecią w ręku, i gotował się

ponieść ją do ust, gdy usłyszał zdaleka trzaskanie biczów pocztyljońskich i poznał pojazd swego pana. Wypróżnił więc co żywo szklankę, rzucił ją w oczy karczmarzowi i odjechał szybko jak błyskawica, zapomniawszy w swym pośpiechu zapłacić za to co wypił. Naprożno szynkarz wołał za nim, chcąc mu przypomnieć jego roztargnienie, tak wielki był zapał kurjera, iż nic nie słyszał, a przynajmniéj nie sądził za stosowne, wrócić się do oberży. Tym czynem, jak on to późniéj powiedział panu de Forbin, zrobił ofiarę ze swego sumienia dla dobra swojego pana, gdyż wolał odpowiadać przed spowiednikiem swoim za dług dziesięciu blanków, niżeli za spóźnienie podróży o sześć minut, przed swoim panem. Pomimo tego wszystkiego przybył jednak dość wcześnie do domu pocztmistrza, aby przygotować konie dla pana de Forbin.

Na drugiéj stacji nie był tak pilny, zaledwie o dwie minuty uprzedził swojego pana; wyrzucał pocztyljonom że kwadrans czasu stracili na przygotowaniu zaprzęgów i mnóstwem obelg

zagłuszył tłumaczenie się tych biédnych ludzi. Pan jego poznał się na tych wybiegach, złajał go tak ostro, iż rozproszył dymy odurzenia, które myśli służącemu mięszać już zaczęły, i dodał, że jeżeli Antoni jeszcze raz podchmieli sobie przed przybyciem do Dunkierki, to mu wysadzi mózg wystrzałem z pistoletu. Antoni Ferou znał dobrze swojego pana, iż był zdolny dotrzymać mu słowa; bojaźń utrzymywała go tak dalece w cnocie i trzeźwości, że przy był aż do miasta Bergues, we Fladrji, nie popełniwszy najmniejszego błędu. Lecz skoro dowiedział się, że już tak bliski jest ukończenia swojéj drogi, radość jego była tak wielka, iż wypił duszkiem kwartę piwa, i natychmiast powtórzył swe piękne dzieło. Bezwątpienia, było to dostateczném do zawrócenia głowy człowiekowi, który przepędził trzy dni na koniu, nie zmrużywszy oka, i bez najmniejszego przestanku. Jak tylko myśli jego mięszać się zaczęły, skręcił zaraz na bok z gościńca, pod pozorem skrócenia podróży, i pomimo wszelkich przedstawień pocztyljonów, kazał im jechać za sobą,

utrzymując, iż zna drogę bardzo dobrze; wkrótce, za jego troskliwém staraniem, dostali się na takie wyboje, że oś u powozu pękła. Łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i gniéw szlachcica, spokojnie drzymiącego w głębi pojazdu, kiedy przebudzony został, i ujrzał się w nocy, wśród błota, w swym złamanym powozie. Zupełna ciemność niweczyła wszelkie usiłowania pocztyljonów i samego nawet Antoniego. Aby wyprowadzić pojazd z tak przykrego położenia i uczynić go zdatnym do dalszéj podróży, trzeba było aby nasz szlachcic piechoto poszedł szukać pomocy w jakim sąsiedzkim domu. Na nieszczęście nie było żadnego w okolicy, i bardzo się ucieszył, gdy spotkał nareszcie mały folwark dość ubogiéj powierzchowności. Zasztukał kilka razy, nieodebrawszy żadnéj odpowiedzi; potrafił nakoniec obudzić jakąś starą kobiétę, którą na wpół śpiąca, zapytała się go przeze drzwi, dla czego robi taki hałas? Lecz gdy się dowiedziała że to chodzi o przyjęcie podróżnego, którego powóz złamał się w drodze, otworzyła drzwi,

rozpaliła wielki ogień łodygami winnemi i ofiarowała gościowi wszystko, co miała najlepszego w domu; chléb żytni, kawałek słoniny, kilka jaj i piwo. Pan de Farbin zawinął się wesoło do tych przysmaków, zjadł smacznie swą wieczerzę, i wkońcu udobruchał się cokolwiek po swym nieszczęśliwym wypadku. Staruszka przyjęła go tak uprzejmie, poczciwy i uprzedzający wyraz jéj twarzy tak się podobał naszemu szlachcicowi, iż zaczął z nią rozmowę prowadzić, co nie było rzeczą bardzo łatwą, gdyż godna Flamandka mówiła tylko swojém narzeczem, a szlachcic rozumiał ją bardzo mało. Jednakowoż, po upływie kwadransa, utworzyli sobie na swą potrzebę, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, osobny język, w połowie na migi, a w drugiéj połowie złożony ze słów z flamandzka — francuzkich i z francuzka —flamandzkich, tak dalece, iż rozumieli się jak najlepiéj i pan de Forbin poznał całą historję téj staréj kobiéty.

Jéj mąż był rybakiem, i prowadząc długo i uczciwie swe rzemiosło, skończył życie w po-

żnym wieku. Ona zaś żyła ze wsparcia, jakie jéj syn przysyłał, który od najmłodszych lat wszedł w służbę morską. Widać, że synowi temu dobrze powodzić się musiało, bo zakupił dom, w którym mieszkał, należącą do niego rolą i ogród powiększył o kilka włuk ziemi, a nadto, wyposażył i wydał swe dwie siostry za dwóch poczciwych wieśniaków, według swego wyboru. Zapytana o stopnień swego syna, odpowiedziała tylko że jest marynarzem, i pan de Forbin domyślał się, że syn jéj zapewne był majtkiem, któremu wpadła w ręce jakaś dobra zdobycz.

Antoni Ferou wziął na siebie staranie przyprowadzenia pojazdu złamanego do stanu, o ile to mogło być, najlepszego, to już dosyc jest, abyście wiedzieli, że rzeczy nie postępowały wcale, i że nieoceniony służący, zamiast wyprowadzić pana z tego kłopotu, powiększał jeszcze przeciwności téj nieszczęsnéj nocy. Ztąd wynikło, że szlachcic uniosłszy się dwa lub trzy razy bezskutecznym gniéwem, zasnął wkońcu znużony przed ogniem; sen jego trwał

aż do świtu, tak dalece był zmęczony drogą.

Gdy otworzył oczy, ujrzał przy swéj gospodyni człowieka około 40 lat wieku mającego, w grubéj różowéj, koszuli, jaką dzisiaj noszą jeszcze marynarze; puszczał kłęby dymu z niezmiernéj fajki, i zapijał z dużego kamiennego garnka, uwieńczonego białym szumem szlachetnego piwa.

— To mój syn, to Jan, rzekła wesoło staruszka do szlachcica.

— Mój przyjacielu, rzekł tenże, twoja matka jest wyborna uczciwa kobiéta, dobrze mię przyjęła; jeżeli służysz w marynarce naszego króla, jak się spodziéwam, przyrzekam ci moję protekcją, która przyda ci się, jak sądzę, chociażby tylko aby ochronić cię od kary, na jaką zasłużyłeś przez opuszczenie munduru. Ty wiesz że za takie wykroczenie spotkać cię może, według przepisów, dwadzieścia razów liną okrętową.

Majtek uśmiechnął się i odpowiedział wesoło:

— Przyjmuję przyjaźń pańską, ale nie protekcją. — Pan widzę jesteś także marynarzem.

— Ja jestem porucznik fregaty de Forbin, dowodzący *Perłą*, która oczekuje na mnie w porcie Dunkierki, odpowiedział wielki admirał królestwa Siam. Majtek pozdrowił go swą grubą wełnianą czapką.

— To jest piękny stopień, rzekł, a *Perła* wywyborny statek, ona pływa jakby ptak; lecz że p. de Seignelai powierzył panu jéj dowództwo, pan musisz być chwatem, na którego on djabelnie rachuje.

— Może ty należysz do osady tego statku?

Wcale nie, panie; ja należę do służby na fregacie *Wędzony śledź* O! *Wędzony śledź* wart daleko więcéj jak *Perła*, panie poruczniku.

— I ty nie chciałbyś opuścić go dla *Perły*, nawet gdybym ci przyrzekł wyższy stopień?

Majtek roześmiał się i pokazał dwa rzędy białych zębów, które zakryte były szerokiemi różowemi wargami.

— Ach! panie poruczniku, dla wyższego stopnia robi się wiele rzeczy, możnaby opuścić nawet *wędzonego śledzia*, lecz najtrudniéj go dostać!

— Dobrze więc! ja ci go daję! Matka twoja powiedziała mi że ty jesteś prostym majtkiem; jeżeli się przekonam że jesteś człowiekiem zdatnym, o czem nie wątpię, przeznaczę cię na *starszego okrętowego*.

Majtek roześmiał się głośno.

— A więc zgoda! będę pańskim *starszym okrętowym*! Razem odprawiemy kampanję, która się rozpoczyna, i na moją duszę! Anglicy i Holendry zpyszna się będą mieli!

— A więc rzecz cała już skończona? zapytał p. de Forbin ucieszony z umowy, którą uczynił.

— Bezwątpienia, o ile to być może, i z warunkiem aby moi zwierzchnicy pozwolili.

— Będę prosił o to dowódcę *wędzonego śledzia*. Jak się nazywa ten oficer?

— Jest to porucznik okrętowy, który się zowie Jan Barth, rzekł majtek posunąwszy stołkiem, jakby chciał aby matka nie słyszała co on mówi; lecz ona usłyszała zapewne, gdyż na twarzy jéj odmalowało się nadzwyczajne zdziwienie, i wypytywała się z żywością swego syna po flamandcku. Ten odpowiedział jéj w tym samym języku kilka słów. Tymczasem przyszedł Antoni Ferou, i oznajmił swemu panu że pojazd już gotów do dalszéj drogi.

— Czy chcesz abym cię wziął z sobą do Dunkierki? spytał szlachcic majtka.

— Dziękuję panu, rzekł ten ostatni, ponieważ *wędzony śledź* wypłynie jutro na pełne morze, zapewne na długo, przyszedłem przepędzić cały ten dzień z moją matką i siostrami. Pan wiesz, że marynarz, skoro tylko postawi nogę na deskach zbrojnéj fregaty, nie wie czy powróci kiedy na ląd. A ja, przyznam się panu, nieumarłbym spokojnie i nie stanąłbym śmiało do walki, gdybym odjechał, nie uściskawszy pierwéj méj dobréj matki, i nie wysłuchawszy mszy przez księdza proboszcza za moję po-

myślność odprawionéj; i gdyby mię ona nie pobłogosławiła swemi staremi rękami, jak to czyniła co wieczór, kiedym był małém dziecięciem.

A więc! skoro powrócisz do Dunkierki, spytaj się o mnie i przypomnji mi obietnicę, jaką ci uczyniłem, rzekł oficer marynarki kładąc sztukę złota na stole.

Majtek zwrócił mu z pośpiechem podwójnego luidora.

— Moja matka jest w dobrym stanie, panie poruczniku, i pan zlebyś osądził jéj gościnność, gdybyś chciał za nią płacić. Obiecałeś mi pan swą przyjaźń i protekcję, rzekł zatrzymując się z uśmiéchem nad ostatnim wyrazem, czyli to nic dosyć? Żegnam pana porucznika, zobaczemy się nie długo.

Pan de Forbin zrozumiał iż niepowinien nalegać, i nie nalegał; pożegnał się ze starą niewiastą, ręką ukłonił się majtkowi wsiadłszy do pojazdu i odjechał, poprzedzony przez Antoniego Ferou, który trzaskał biczem, jakby z tryumfu, że tak chwalebnie doprowadził do kresu podróży swego pana.

Skoro zniknął powóz pocztowy, Jan Barth, który stał ciągle przed drzwiami swego folwarku, wziął pod rękę swą matkę i rzekł, wyciągając wielki srebrny zégarek:

— Już szósta dochodzi. Ksiądz proboszcz obiecał że o saméj siódméj odprawi mszę świętą, a my potrzebujemy trzech kwadransy, dla odbycia drogi. Wybierajcie się więc, matko, bo po drodze musiemy wstąpić jeszcze po moje siostry i ich mężów, a wiecie to dobrze, że kobiéty, zwłaszcza kiedy mają drobne dzieci, jak Teresa i Marja, zawsze każą czekać na siebie.

Staruszka poprawiła swą spódnicę z różowéj wełny, ubrała się w biały czépek, włożyła na ramiona płaszczyk, nakształt hiszpańskiego, a na głowę zasłonę z czarnéj kitajki, pochwyciła wesoło za rękę swego syna i odeszła. Jan nie byłby troskliwszy, ani bardziéj uprzedzający dla pięknéj dziewczyny, którąby szalenie kochał, jak dla swéj podeszłéj matki. Trzymał ją za rękę zmarszczkami okrytą; żartował, pobudzał ją do śmiéchu różnemi sposobami i

sam podzielał jéj wesołość z dziecinném zadowoleniem. Gdy przybyli do folwarków, — folwarki te stały jeden naprzeciwko drugiego, — zagwizdał; natenczas siostrzeńcy jego wybiegli, rzucili mu się na szyję i obsypali go swemi hałaśliwemi pieszczotami. Jeden wdrapał mu się na plecy, drugi uwiesił na kolanach; mniéjsi tańczyli koło niego i wyciągali ku niemu ręce; a wszyscy krzyczeli z całego gardła i witali go najprzeraźliwszemi tonami swego głosu.

— Mój wujaszek Jan! otóż wujaszek Jan! dzień dobry mój wujaszku!

Jan wesoło przyjmował te wybuchy radości swoich siostrzeńców, sprawione jego przybyciem. Lecz gdy widział że tym uściskom nie ma końca, rzekł podniosłszy swój głos gruby.

— Héj! hola! dzieci, zawieszenie broni! trzeba abyśmy zabrali znajomość z arsenałem mojéj kieszeni.

Na te słowa, które im obiecywały małe podarunki, z jakiemi zawsze przychodził ich wujaszek, dzieci umilkły, uszykowały się oko-

ło majtka, z oczami wlepionemi w niego z wyrazem pragnienia i niecierpliwego oczekiwania. Natenczas, wesoły wujaszek włożył lewą rękę do wypakowanéj kieszeni swego niebieskiego płaszcza, który nosił na różowéj koszuli, i wyjął z niéj małą miedzianą armatkę.

— Otóż dla chłopca, rzekł; kto chce ją dostać?

— Ja! ja! odpowiedziały głosy dwóch starszych.

— Tam do djabła! to nowy kłopot! dwie fregaty o jednę armatę! zobaczmy, może znajdzie się druga w prawéj kieszeni.

W istocie, przyniósł drugą armatę zupełnie podobną do pierwszéj i malcy porwali je i uciekli na kilka kroków, jakby z obawy aby im nie odebrano tych zabawek.

Dziewczynki oczekiwały swéj kolei, było ich cztery, starsze miały po ośm, a inne po sześć lub pięć lat dopiero.

— Oto kolczyki i łańcuszki srebrne; kto życzy sobie, zawołał naśladując krzykliwy głos woźnego na licytacji.

Starsze dziewczynki zaczerwieniły się z ukontentowania i podziwienia na widok tak drogiego podarunku.

— Ach! mój wujaszku, pójdź niech cię uściskam, rzekły obsypując go swemi najczulszemi pieszczotami.

— To lubię! zawołał dobry Jan, przynajmniéj znają się na wdzięczności za moje podarunki, i nie uciekają ode mnie jak te dwa łotry. Otóż masz!... te dwa przeklęte hultaje biją się znowu pięściami! Hola! swawolniki! i pobiegł do nich z podniesioną ręką. Dwaj chłopcy, którzy walczyli na kułaki o własność armatki błyszczącéj się mocniéj jak druga, nie czekając na zbliżające się zbrojne wmieszanie, zwinęli chorągiewkę. Dwie najmłodsze dziewczynki zatrzymywały swego wuja w biegu, jak mogły, gdyż one nic nie dostały, a kieszenie jego nie były jeszcze wypróżnione. Skoro się obejrzał i zobaczył je zadyszane koło siebie, przestał ścigać dwóch szermierzy, usiadł na trawie i wyciągnął dwie lalki kartonowe z różowemi twarzyczkami.

— Otóż dwie lalki, dwie wspaniałe lalki norymberskie; dam je za dwa całusy.

Otrzymał ich sto, zamiast dwóch, których żądał.

Skoro dzieci odebrały swoją część, przyszła kolej na rodziców.

— Héj! siostry, oto łańcuszki srebrne abyście były piękniejsze! A potém włóżcie te 200 talarów do waszych skrzyń, dobrze to jest mieć takie ziarna na czas nieurodzaju. — No, teraz udamy się na mszę! Skoro oddamy winną cześć naszę panu Bogu, pójdziemy na obiad do oberży Ignacego Beukels, któremu poleciłem aby przygotował pieczoną gęś, udziec barani, kawał wołowiny, do tego sałatę, a dla dzieci placek tak wielki jak ten stół. Po obiedzie wypijemy za nasze zdrowie i pożegnam was, gdyż jutro rozwijamy żagle, jutro udajemy się już na wojnę! Niech Bóg mi raczy dopomagać, a zyskam jeszcze tyle, że będę miał was czem obdarzyć moje dzieci!

Potém wziął pod rękę swą matkę, a każdy z mężów swą żonę, te znowu podały ręce

swym najmłodszym dzieciom; starsze dziewczynki szły naprzód, a dwaj szermierze, zapomniawszy o kłutni, przyłączyli się także do całego zgromadzenia.

Udali się w takim porządku do kościołka wiejskiego, gdzie oczekiwał ich ksiądz ubrany w szaty kapłańskie, gdyż Jan ofiarował szanownemu proboszczowi 20 sztuk złotéj monety na mszą, prosząc go aby rozdzielił między ubogich to, czego nie będzie chciał zatrzymać z téj summy dla siebie. Skoro przybyli pod nawę kościoła, wszyscy uklękli na kamiennéj posadzce, złożyli ręce, i modlili się z gorącą i szczerą pobożnością. Jan przesuwał palcami czarne ziarna różańca. Skoro nadeszła chwila kommunji, przybliżył się do stołu Pańskiego i przyjął Hostją na swe usta z głębokiém uczuciem skruchy. Matka, siostry i szwagrowie naśladowali go, a proboszcz zakończył ten pobożny obrządek krótką przemową. Po skończoném nabożeństwie, szanowny pasterz

zdjąwszy swe kapłańskie szaty, uderzył po ramieniu Jana i rzekł:

— Jakto przyjacielu, wy macie zasiąść do rodzinnéj uczty, a mnie nie zaprosiliście na nią? Ja ciebie chrzciłem, mój Janie, ja pierwszy przyprowadziłem cię do stołu Pańskiego, ja odprawiłem smutne modły nad trumną twego godnego, szanownego ojca, ja rozdzielam twoje jałmużny, czyliż nie należę do rodziny?

— Do stu kartaczów! prawda! — i ja byłem takim gapiem że nie zaprosiłem księdza proboszcza! lecz ksiądz proboszcz jest tak dobrym że pójdzie z nami. Podajcie mi swą rękę, wesprzyjcie się mocno, nie lękajcie się niczego, gdyż moja matka i wy księże proboszczu, to dla mnie mały ciężar.

Całe zgromadzenie udało się do oberży Ignacego Beukels, gdzie Jan i jego rodzina raczyli się aż do wieczora. Nareszcie, wyjął on jeszcze raz swój srebrny, duży zégarek, uściskał swe siostry, ich mężów i dzieci, potém ukląkł przed swą matką i proboszczem:

— Pobłogosławcie mię, i nie zapominajcie o mnie w swych modlitwach.

Dwoje starców wzniosło nad jego głową swe szanowne ręce. Potém powstał, wskoczył do powozu czterema pocztowemi końmi zaprzężonego i odjechał galopem.

— Bywajcie zdrowi! zawołał.

— Bądź zdrów! odezwały się razem wszystkie głosy ze wzruszeniem. Bądź zdrów. Niech najświętsza Panna Łaskawa opiekuje się tobą!

III.

Opuściwszy mały folwark matki Jana, pan de Forbin udał się prosto do blizkiéj już Dunkierki; tym razem odbył swą drogę bez żadnéj przeszkody, nie doświadczywszy przykrych skutków niezręczności swego służącego. Skoro wysiadł z powozu, udał się natychmiast obejrzyć fregatę *Perła*, która stała natenczas w przy-

stani portowéj, i doznał wielkiéj radości widząc ten statek nowo zbudowany, gdyż on był jednym z najlepszych w całéj marynarce francuzkiéj. Gdy zrobił już przegląd całéj fregaty, zgromadził naokoło siebie wszystkich oficerów osady, stosownie do odebranych rozkazów, przy wyjeździe z Wersalu, i otworzył w ich przytomności opieczętowane pismo ministra. Zawarty w niém był rozkaz aby natychmiast rozwinąć żagle i udać się do portu Brest, z tém wyraźném zastrzeżeniem, aby ani on sam, ani żaden z jego ludzi, nie oddalał się na ląd. Wykonał natychmiast ten rozkaz, i udał się do Brest. W tém miejscu oprócz osady, która składała się ze 120 ludzi i 24 armat, wziął na swój pokład 100 żołnierzy i wypłynął na pełne morze dla ścigania statków angielskich i holenderskich, które żeglowały w tych okolicach. Swietna i szczęśliwa wyprawa uwieńczyła zawód jego na samym wstępie: korsarski statek holenderski o 24 działach spotkał go, lecz przekonawszy się z kim ma do czynienia, postanowił uchronić się spotkania;

p. de Forbin zaczął go ścigać i dogonił. Korsarz przekonał się naówczas zupełnie o przewadze swego przeciwnika, jednakowoż postanowił raczéj zginąć, niżeli się poddać. Widząc, że p. de Forbin czynił obroty dla zarzucenia haków na jego statek, kazał zagwoździć wszystkie spusty pokładowe, aby jego ludzie, nie mając gdzie się schronić, przymuszeni byli bronić się do ostatecznéj kropli krwi. Nastąpiło zdobycie statku z wielkim krwi rozlewem; nieszczęśliwi Holendrzy bili się z rozpaczą, tak dalece, że w jednéj chwili cały pokład okryty został trupami. Widząc to p. de Forbin wskoczył sam na statek aby zapobiedz takiéj rzezi; gdyby nie on, ani jeden z tych nieszczęśliwych nie uszedłby śmierci, do tego stopnia rozdrażnioną była osada *Perły* oporem, jaki doznała. Nasz bohater, który zaledwie opuścił port Brestu, powrócił znowu do niego z tryumfem i ze znaczną zdobyczą. Całe miasto, poruszone tym wielkim czynem wojennym, zgromadziło się na jego przybycie w porcie, i powitało o-

krzykami radości *Perłę*, która prowadziła za sobą korsarski statek holenderski.

Nazajutrz nowe przyszły rozkazy; pan de Forbin odebrał zlecenie towarzyszenia licznym statkom kupieckim aż do Havre-de-Grece, i bronienia ich w razie napadu, korsarzy. *Perła* miota spotkać po drodze krążącą w tych okolicach fregatę *Slédź wędzony*, która odebrała rozkaz od ministra wzmocnienia obrony 20 statków kupieckich, chociaż one same były uzbrojone i mogły się bronić same przeciw nieprzyjacielowi.

Szczególne imie fregaty, o której wzmiankował list ministra, przywiodło na pamięć panu de Forbin marynarza Jana, któremu z przyczyny spiesznego odjazdu nie dotrzymał obietnicy. Postanowił korzystać z okoliczności i prosić o niego dowódcę tego statku, lecz gdy kazał już swym ludziom uczynić znaki oznajmujące chęć zbliżenie się, spostrzegł w oddaleniu dwa statki, które zbliżały się ku ich małéj flocie. Wkrótce przekonał się, że to były dwa uzbrojone okręty angielskie, o 50 działach, które widocznie chciały

natrzeć na *Perłę*, *Wędzonego śledzia* i pod obroną ich będące statki kupieckie. Pogoda była piękna i morze zupełnie spokojne; mały wiatr tylko panował. Na widok tych straszliwych okrętów, pan de Forbin poradził się za pomocą znaków dowódcy *Wędzonego śledzia*, co mieli przedsiewziąść w téj mierze. Najpewniejszym środkiem zdawało się opuścić statki kupieckie, gdyż innym sposobem niepodobna było ocalić dwóch wojennych fregat. Jednakowoż zdanie objawione przez pana de Forbin i odpowiedź uczyniona przez dowódcę *Wędzonego śledzia* zgodziły się w tém, że pomimo wszelkiego niebezpieczeństwa i przewagi nieprzyjaciela uciekać im nie wypada. Uzbroili jak najspieszniéj dwa największe statki kupieckie, i przybliżyli się śmiało ku Anglikom, usiłując zarzucić haki na jeden z ich okrętow, gdy tymczasem statki kupieckie miały zatrudniać drugi okręt ciągłemi wystrzałami armatniemi. Po takowém rozporządzeniu, wywieszono flagę francuzką, a pan de Forbin zeszedł do swéj kajuty, lecz wkrótce wyszedł

znowu, ubrany w wielki mundur porucznika fregaty, z włosami starannie zawiniętemi, w jedwabnych pończochach i trzewikach z różowemi piętami. Z początku los zdawał się sprzyjać statkom francuzkim. Kierunek wiatru i spokojność morza ułatwiały natarcie zblizka na pokład angielskiego okrętu, które zobojętniłoby straszliwą artylerją nieprzyjaciela; a w takim razie, napadnięty przez dwie francuzkie fregaty, mógłby zostać zwyciężonym. *Perła* zaczepiła swe haki o nieprzyjacielski okręt; lecz na nieszczęście *wędzony śledź* chybił. P. de Forbin ujrzał natenczas swe niebezpieczne położenie; ucieczka mogła go uratować, lecz przeniósł śmierć nad takowe przyznanie słabości swéj osady, i nie przestał walczyć.

Jednakże, chociaż *śledź wędzony* nie mógł zaczepić się o statek angielski, nie przestał jednak walczyć, zarzucał go granatami, i nareszcie zdołał przysunąć się zupełnie. Zwycięstwo byłoby zapewne nagrodą waleczności 2ch fregat francuzkich, gdyby nie tchórzostwo sta-

tków kupieckich, które uciekły i dozwoliły drugiemu okrętowi przyjść na pomoc temu, który zaczynał już ustępować przed natarczywością fregat. Natenczas wszelki opór ze strony *Perły* i *wędzonego śledzia* stał się bezskutecznym; walczyli jednak ciągle z rozpaczającą odwagą, i byłby może ani jeden człowiek z dwóch osad francuzkich nie uszedł śmierci, gdyby pan de Forbin sześć razy już raniony nie otrzymał uderzenia w głowę odłamem granatu, które całą twarz jego krwią oblało. Zeszedł na chwilę z pokładu aby kazać sobie ranę obwiązać chirurgowi. Antoni Ferou, który dotychczas starannie się ukrywał przed kulami za kupą lin okrętowych, korzystał z okoliczności i udał się za swoim panem aby się lepiéj jeszcze zabezpieczyć. Pan de Forbin zagroził mu roztrzaskaniem głowy, gdyby nie powrócił natychmiast na pokład, gdyż on sądził że Antoni bił się ciągle nieustraszenie, i tylko z przywiązania udał się za nim. Nakłoniony tak uprzejmą prośbą, powrócił na plac boju, lecz tutaj kule zaczęły mu gwizdać około głowy i po-

większyły bardziéj jeszcze jego trwogę; upadł więc na kolana i zaczął płakać. Ponieważ wszyscy na statku podzielali mniemanie pana de Forbin o tym junaku, przypisano więc tak wielką boleść nie bojaźni, lecz rozpaczy sprawionéj śmiercią pana. Żołnierze i majtkowie, sądząc że nie mają już dowódcy, zaczęli myśleć o ucieczce, niektórzy schronili się na szalupę; Antoni Ferou przyłączył się do nich i wkrótce dostał się na statek kupiecki, który uciekał pełnemi żaglami. Ktoś doniósł o zupełnéj porażcę panu de Forbin. Uniesiony gniewem, wyskoczył na pokład; lecz cała jego osada poszła w rozsypkę, znalazł tylko okrytego ranami dowódcę *Wędzonego śledzia*, który wyrugowany ze statku angielskiego schronił się na *Perłę* i stawiał ciągle mężny odpór. Przyłączył się więc nasz bohater do niego, i pomimo ciągłéj utarczki, poznał w tym oficerze z wielkiém zadziwieniem majtka Jana. Kiedy on, rozważając o téj dziwnéj okoliczności, rąbał ciągle Anglików, odebrał nagle z boku cios oszczepem, który go powalił

na ziemię bez przytomności. Skoro przyszedł do siebie, ujrzał się na statku angielskim jeńcem wojennym.

W owéj epoce, zwyczajem było u marynarzy obdzierać ze wszystkiego tych, którzy dostali się w ich ręce; p. de Forbin ubrany w mundur wielkiéj wartości doznał tego samego losu. Jakiś majtek dał mu kaftan i spodnie płócienne, nie zupełnie w dobrym stanie, — gdyż w *Pamiętnikach* swych czyni wzmiankę, że większa część lewéj nogi wyglądała przez obszerne dziury tego ubrania; — para trzewików podartych i czapka brudna uzupełniały strój tego, który słusznie uważany był za jednego z pierwszych elegantów dworu Ludwika XIV.

Pan de Forbin wesoło znosił swe położenie i żartował z porucznikiem *Wędzonego śledzia*, który posiadał język angielski i ująć sobie potrafił majtków nieprzyjacielskich kilku dowcipnemi słowami. Spytał się go, jakim to się stało sposobem że majtek, którego widział u podeszłéj matki, w okolicy Bergues, mógł zostać porucznikiem fregaty królewskiéj.

Ten roześmiał się i rzekł z flamandzka po francuzku:

—Rzecz jest bardzo jasna. Wyjechałem od mojéj matki prostym majtkiem, dobra kobiéta nie znając nikogo, coby mógł ją zawiadomić o mojém powodzeniu, nie wiedziała że jéj syn został porucznikiem fregaty, a może nawet wzięła by mnie za szalonego, gdybym jéj to sam powiedział. Oprócz tego muszę przyznać się panu, niewymownéj doznaję radości, że mogę powrócić do mojéj matki jak nieznany prosty marynarz, gdyż ona nie ośmieliłaby się może kochać mię tak bez wszelkiego przymusu jak teraz, gdyby mię zobaczyła w chaftowanym mundurze. Dla niéj zawsze jestem tylko majtkiem Janem, kiedy dla wszystkich innych jestem porucznikiem Janem Barth!

— Jan Barth! zawołał pan de Forbin; pan jesteś walecznym i sławnym Janem Barth!

— Ani waleczniejszym ani sławniéjszym jak pan de Forbin. Z łatwością pan pojmiesz jednak moję radość, jakiéj doznawałem, kiedym

mógł zasiąść obok mojéj matki i nie widział naokoło siebie zgromadzonych gapiów z okolicy, ciekawych oglądać porucznika fregaty, który kiedyś był ich towarzyszem. Musiałbym znosić oświadczenia przyjaźni wielu osób, które nie troszczą się dzisiaj o mnie, kiedy mię widzą w wełnianym kaftanie. A potém, moje siostry zdumniałyby; moi szwagrowie nie chcieliby kopać od rana do wieczora w swym ogrodzie, gdyby się dowiedzieli, że brat ich jest porucznikiem fregaty J. K. Mości. Na Śgo Jana, mego patrona! Ja jestem i zostanę dla nich na zawsze tylko prostym marynarzem, który czasami robi dobrą zdobycz i dzieli się z nimi swym zyskiem, otóż rzecz cała. Bardzo by mi przykro było, gdyby kiedyś moja tajemnica, tak długo strzeżona, odkrytą została. Obawiam się aby jaki gaduła nie wyświadczył mi téj przysługi.

Statek, na którym znajdowali się dwaj więźniowie, Jan Barth i pan de Forbin, udał się do Plimouth, gdyż potrzebował naprawy. Gdy wylądowano, dwaj oficerowie zamknięci

zostali w więzieniu, którego okna wychodziły na morze; nie obchodzono się już z nimi tak surowo jak dotąd. Pozwolono im w pewnych godzinach widywać się z mieszkańcami miasta; pana de Forbin odwiedził wkrótce pewien protestant, któremu on niegdyś ocalił życie w czasie wojen o religją.

Człowiek ten pragnąc wywdzięczyć się swojemu wybawcy, wyjednał mu pożyczkę dość znacznéj summy, za którą mógł on zakupić sobie przyzwoitszą odzież, i o niektórych wygodach pomyśleć. Potém sprowadził mu chirurga, gdyż rany walecznego oficera nie były zupełnie dobrze opatrzone. Pan de Forbin podzielał swoję pomyślność z Janem Barth, i wkrótce pobyt w więzieniu stał się dla nich, o ile on być może, najznośniejszym. Pierwszy przepędzał czas na przemyślaniu o środkach ucieczki, drugi pił od rana do wieczora. Podczas dnia, wolno było dwom jeńcom błądzić według upodobania po całém zabudowaniu więzienném, lecz na noc, zamykano ich w jednym pokoju, którego okno ogromnemi kratami żela-

znemi zaopatrzone wychodziło na morze. Ostrożność posuwano do tego stopnia że nie dawano im światła, i przymuszeni byli albo kłaść się spać wraz ze zmrokiem, albo też zabawiać się w ciemności gawędką; co też czynili prawie zawsze, jeżeli tylko częste toasty wśród dnia nieobciążyły tak dalece głowy Janowi Barth, że sen stawał się koniecznym. Wtenczas to opowiedzieli sobie obadwa dziwne wypadki swojego życia.

Pan de Forbin był najmłodszym synem starożytnéj rodziny w Prowancji, obdarzonéj szlachectwem przez Ludwika XI, która liczyła wielu znakomitych przodków w kościele, obozie i radzie. Młodosc jego była szalona, marnotrawna; jaką bywała prawie wszystkich młodszych synów znakomitych rodzin w owéj epoce. Pojedynek w Tulonie, wśród dnia, w którym zabił szlachcica de Goudron, naraził go na gniew króla; i dla ochronienia p. de Forbin od przykrych skutków tego gniewu, rodzina jego uciekła się do środków, jakie bezwątpienia nie powiodłyby się w naszych czasach. Użyła ca-

łego swego wpływu aby parlament Prowancji wydał na niego wyrok jako na mordercę szlachcica de Goudron. Parlament wyświadczył tę przysługę panu de Forbin, a król, który dla zabojcy w pojedynku byłby bez żadnéj litości, przebaczył z łatwością mordercy, i glejt mu udzielił. Kazał doradzić jednak młodzieńcowi aby wsiadł na pokład statku odpływającego do Siam, na którym znajdowało się poselstwo Ludwika XIV do króla téj dalekiéj krainy. Po długiéj i niebezpiecznéj przeprawie przybył p. de Forbin do celu swéj podróży i osądził, że owe królestwo i owe miasto nie warte było dobréj wsi francuzkiéj. Żartował dowcipnie z całéj téj wyprawy do tego stopnia że p. de Chaumont zaczął się obawiać aby śmiały szlachcic nie odkrył przed dworem śmiesznego zawodu, jakiego doznali w swych nadziejach przemysłowych, na ten kraj obrachowanych, i nie pozbawił go nagrody, którą by mu niebawnie udzielono, gdyby potrafił rzeczywistość ozdo-

bić piękniejszemi kolorami. Pan Tachard będący główną przyczyną tego poselstwa, pragnąc również poskromić nieumiarkowany język młodego szlachcica, wspiérał go w powziętych zamiarach, i oznajmiono biédnemu chłopcu że król Siamu życzy sobie powierzyć mu dowództwo swéj floty. Pan de Forbin odmówił bez namysłu. Lecz ambassador rozkazał mu w imieniu Króla przyjąć ofiarowany urząd, a nasz biédny szlachcic musiał zostać pomimowoli wielkim admirałem. Cztéry lata przepędził pomiędzy temi barbarzyńcami, wystawiony ciągle na niebezpieczeństwo utraty życia w przykrych wyprawach, jakie mu narzucał portugalczyk, minister króla Siamu; który zazdroszcząc ciągle francuzowi będącemu w łaskach u króla, postanowił w końcu go kazać zabić. Nareszcie potrafił uwolnić się od życia tak nudnego i pełnego niebezpieczeństw tajemną ucieczką do Francji, gdzie dobre przyjęcie Króla wynagrodziło go za wszystkie doznane cierpienia.

Jan Barth słuchał opowiadania pana de For-

bin z całém zajęciem umysłu nieoświeconego, lecz skłonnego do cudowności, i żywą wyobraźnią obdarzonego. Zarzucał pytaniami swego towarzysza niewoli, nie mógł się dosyć nasłuchać o obyczajach mieszkańców kraju Siam, pomiędzy któremi ten ostatni tak długi czas przepędził, i bawił się tém opowiadaniem, jak się bawi dziécie bajkami o wróżkach.

— A pan nie opowiész mi swego życia i swoich przypadków? rzekł pewnego dnia pan de Forbin.

— Panie poruczniku, odpowiedział Jan Barth, moja historja tak szczególnych i zadziwiających wypadków nie zawiéra jak pańska, jeżeli jednak pragniesz pan ją poznać, opowiem od początku do końca, z tym warunkiem abyś pan się nie śmiał z méj francuzczyzny i niezręczności w opowiadaniu, gdyż ja niepotrafię wywijać tak językiem jak szablą.

— Nie wątpiéj pan o sobie i zaczynaj, od

powiedział p. de Forbin i wdrapał się aż pod same okno postawiwszy krzesło na stole.

Jan Barth spojrzał na niego, cokolwiek zdziwiony tém niezwykłém przygotowaniem do słuchania. Zaczął jednak opowiadać.

IV.

—Naprzód, rzekł Jan Barth coraz bardziéj zakłopotany, od czego miał zacząć swoję historją, moje opowiadanie nie będzie długiém. Ja jestem jak to pan wiész, synem rybaka i wieśniaczki, którzy mieli jeszcze oprócz mnie dwie córki: Téressę i Marję. Lecz cóż tam pan robisz u okna, więcéj zajęty kratą niżeli mojém opowiadaniem?

— Ani słowa o tém. — Janie Barth, podnieś głos i opowiadaj jak możesz najsilniéj.

I pochyliwszy się ku Janowi Barth pokazał mu p. de Forbin małą piłkę ze sprężyny ze garkowéj.

— Na Sgo Jana, mego patrona! zawołał marynarz nie posiadając się z radości, zkąd pan dostałeś ten drogi dar.

— Ja nie wiem, znalazłem go w chlebie, który nam przyniesiono dzisiaj rano. Lecz opowiadaj daléj i mów głośno, gdyż obawiam się aby nie usłyszano tarcia piłki.

— Jakem to już panu powiedział, zaczął znowu Jan Barth, którego serce biło z radości i nadziei, moi rodzice posiadali tylko troje dzieci, jednę łódź, jednę sieć i jednę chatę. Zaledwie 14 lat miałem, a już mój ojciec zaczął brać mię z sobą wyjeżdżając na połów. Mogę powiedzieć że morze jest moim najdawniéjszym przyjacielem. Nie jednę noc przepędziłem w szalupie sieci mając za posłanie, mgłę za firanki, a burzę za piastunkę. Bywały jednak dnie w któ-ych morze pomimo naszéj dawnéj znajomości

nie postępowało z nami po koleżeńsku i niechciało nam żadnym sposobem udzielić ryb swoich. Pewnego dnia, kiedyśmy powrócili z próżną łodzią, przepędziwszy trzy dni na morzu, mój ojciec rzekł do mnie:

— Mój chłopcze rzemiosło rybaka jest złém rzemiosłem. Gdybym nie był tak starym, a nawet, mniejsza jeszcze o to, gdybym nie miał żony i dwóch córek, obrałbym inne i zaciągnął bym się do holenderskiéj marynarki. Trzeba abyś ty uczynił to mój chłopcze, co ja chciał bym uczynić. Już masz lat dwanaście. Nie ma pewnie na całym świecie zręczniejszego chłopca na jungę (* okrętowego. Jeżeli chcesz, udamy się do dowódcy małego holenderskiego statku korsarskiego, który stoi w porcie, możem z nim załatwić rzecz całą.

— Zgoda, mój ojcze!

I popłynęliśmy ku téj dziurawéj łupinie kor..

---

*) Junga, wyraz dawny polski, oznacza ucznia na okręcie.

sarza. Mój ojciec opowiedział mu nasze żądanie; kapitan gruby, niski człowiek, którego twarzy ponuréj i złośliwéj razem nie zapomnę, póki żyć będę, wysłuchawszy to, co mój ojciec mówił, odpowiedział:

— Jeżeli ten chłopiec nie obawia się dwudziestu plag liną okrętową i umie wedrzéć się na wierzchołek masztu, to wezmę go na mój pokład.

— Co się tycze plag liną okrętową, odpowiedział mój ojciec, to nie mogę panu zaręczyć, gdyż ich nie odbiérał nigdy, chociaż nieraz może zasłużył, lecz co do biegania po maszcie, to pan zaraz zobaczysz! I dał mi znak, a ja wdrapałem się na sam wierzchołek najwyższego masztu.

— To zręcznie, rzekł kapitan, chociaż nie dostał plag liną, to mu ich potrafiemy sami udzielić tyle, ile będzie potrzebował. Bądź zdrów mój przyjacielu, zatrzymuję twego syna.

— Chciałbym, rzekł mój ojciec drapiąc się w głowę, zakłopotany tak rychłém przyjęciem

swego przedstawienia, chciałbym aby uściskał przed odjazdem swą matkę.

— Rozwijam żagle za kwadrans; a nadto, po prawdzie mówiąc, nie lubię ażeby junga przyszedł na pokład z zapłakanemi oczami i zasmucony; to powiększa słabość morską; uściskaj swoję żonę od siebie, od Jana i ode mnie, dodał śmiejąc się, a tego dukata daj jéj w nagrodę że nie skropi łzami pyszczka swego dzieciaka. No, zabiéraj się, i bywaj zdrów, gdyż wiatr nam sprzyja, trzeba ruszać!

Mój ojciec zaledwie miał czas uściskać mię; wszedł do swéj łodzi i wkrótce zniknął mi z oczu. Stałem ciągle na pokładzie zatopiwszy wzrok mój w oddaleniu, jak gdybym mógł go jeszcze widzieć, gdy nagle uczułem mocne kopnięcie nogą. Obróciłem się, był to kapitan, który krzyknął na mnie:

A cóżto bydle, przyszedłeś tutaj przypatrywać się jak łyski latają?

— Kapitanie, odpowiedziałem macając się po nodze, obiecałeś mi plagi liną okrętową, ale nie

uderzenia nogą. Żart zdawał mu się dobrym, i zaczął śmiać się.

— Jak widzę rzekł, ty jesteś wesoły chłopak. Pełnij dobrze swoję powinność, a porozumiemy się.

Wziąłem się więc do roboty i pokazałem majtkom i innym jungom na statku, że nie byłem nowicjuszem. Jeden z moich towarzyszy chciał szydzić z żartu, jaki kapitan wyrządził mi swoją nogą, odpowiedziałem mu tak silnym kułakiem w twarz, że upadł o trzy kroki w tył, w kadź pełną wody, gdzie znalazł wszystko, czego potrzebował do zatamowania krwi, która płynęła mu z nosa potokami. Czy wszystko dobrze idzie panie poruczniku?

— Przecudownie! mów daléj.

— Po trzech dniach żeglugi spotkaliśmy statek portugalski. Kapitan postanowił zabrać mu towary i złoto, które przewoził z Peru i uderzył na nieprzyjaciela. Zaraz z początku kilka wystrzałów armatnich uszkodziło mocno naszę skorupę; niektórzy na pokładzie zaczęli szemrać; lecz kapitan zawołał że nasz mały

statek dosyć się już wysłużył, i że mało go to obchodzi, czy on będzie uszkodzonym lub nie, gdyż portugalczyki sprawią nam zupełnie nowy. Powiedziawszy to, wydał rozkaz do napadu; zarzucono haki, i daléj na pokład nieprzyjacielski! *Sacrebleu*! ta muzyka strzałów pistoletowych, krzyków, szczęku pałaszy, podobała mi się! Byłem wszędzie rąbiąc na prawo i na lewo, opojony dymem prochu i ochoczy jak na weselu. Zaledwie uwinąłem się z jednym olbrzymim majtkiem, spostrzegłem że kapitan otoczony był przez kilku portugalczyków, którzy dokuczali mu do żywego. Rzuciłem się na najbardziéj natarczywego i rozciąłem mu oszczepem głowę na dwoje;ten upadł na swego sąsiada, który obrócił się i przyskoczył do mnie. Kiedy ja walczyłem z moim nowym przeciwnikiem, kapitan mając do czynienia tylko z dwóma portugalczykami, wkrótce z nimi skończył sprawę i przyszedł mi na pomoc, lecz ja zawołałem:

— Kapitanie, daj pokój! niech każdy swoje zrobi, i powaliłem na ziemię portugalczyka. W kwadrans późniéj,opanowaliśmy *Corregidor*

pozrzucano z pokładu trupów, a kapitan poszedł zrobić przegląd skrzyń i spodu okrętowego. Wyszedł z radością oznajmić nam że statek ten był naładowany sztabami złota, i wydał rozkaz powrotu do Holandji, dla uskutecznienia podziału téj dobréj zdobyczy.

Gdy po wylądowaniu w Amsterdamie, przystąpiono do podziału, i ja także przybliżyłem się między innemi, dla odebrania małéj cząstki na jungę przypadającéj. Kapitan rzekł natenczas.

— Towarzysze, czy nie wypadałoby dać temu małemu chwatowi części, jaka na majtka przypada? Ja sam widziałem go jak czterech portugalczyków powalił!

— To byłoby przeciwko przyjętym zwyczajom, zarzucił jakiś stary marynarz; junga nie powinien dostać części majtka.

— Dobrze więc! wszystko odbędzie się według zwyczajów, ty gburze, dodał kapitan, mianuję Jana majtkiem. Oto masz chłopcze trzy funty złota. Włóż to do kieszeni; przeznaczam ci trzy tygodnie czasu na podróż do twe-

go ojca; nie rozwinę żagli jak za miesiąc, wracajże na czas oznaczony.

Nie bawiąc się długo popłynąłem do Dunkierki, i w trzy dni potém przybyłem wieczorem przede drzwi domu mojego ojca.

— Puk! puk!

— Kto tam?

— To przecież ja!

—Nsza Panno! to Jan! zawołała moja matka i pobiegła drzwi otworzyć! Nie zapomnę nigdy jéj radości. Ona ściskała mnie, płakała, śmiała się, dziękowała Bogu, Najświętszéj Pannie i wszystkim Świętym! Ja nie mniéj byłem wzruszony; nakoniec, przyszedłem nieco do siebie.

Któż ci kazał tak prędko powrócić? spytał mię ojciec; czy otrzymałeś pozwolenie twego kapitana? gdyż junga nie może się oddalać z pokładu bez pozwolenia swego kapitana?

— Ja nie jestem już jungą mój ojcze.

— Co to ma znaczyć? spytał surowo poczciwiec.

— Ja jestem majtkiem! kapitan nadał mi ten stopień.

Niepodobna!

— Oto moja część z ostatniéj zdobyczy.

— Co to znaczą te brudne kawałki miedzi?

— To jest złoto, złóto w sztabach, mój ojcze! Tutaj jest trzy funty, przyniosłem go abyście kupili suknią mojéj matce.

Resztę nocy przepędziliśmy na gawędce przy kominie, i domyślisz się pan zapewne że nie zapomniałem o moich walecznych czynach przy zdobyciu okrętu korsarskiego. Moja matka drżała słuchając opowiadania mego o niebezpieczeństwach, na jakie byłem narażony, mój ojciec uderzał wesoło w swe zgrubiałe ręce, a siostry patrzyły na mnie z podziwieniem.

Skoro dzień nadszedł, poszedłem do miasta z ojcem, aby przedać jubilerowi moje trzy funty złota. Dano mi za nie 4000 piastrów; mój ojciec nie wierzył że mógł posiadać tak

wielkie skarby; radził się proboszcza co miał robić z tak wielkiemi pieniędzmi. Szanowny ten kapłan poradził nam abyśmy zakupili naszę chałupę i przyległy ogród; co też było zaraz uskutecznionem.

Przed końcem miesiąca powróciłem do mojego kapitana, i służyłem na jego pokładzie aż do chwili wypowiedzenia wojny Holandji przez Francją i natenczas rzekłem do mojego starego wilka morskiego:

— Nigdybym cię nie opuścił kapitanie, lecz oto wybuchła wojna między twoim krajem a moim; trzeba abym objął służbę na pokładzie statku francuzkiego.

Masz słuszność, rzekł, oddal się, jeżeli spotkamy się kiedy w bitwie, będziemy się rąbać jak przystoi na dzielnych marynarzy, takich jak my.

— Połknąłbym raczéj mój oszczep, niżelibym miał obciąć chociaż jeden włos z głowy pana kapitana, odpowiedziałem.

— Otóż to jest szlachetna odpowiedź, rzekł ze łzami w oczach! Patrz, jak to głupio! ja

płaczę! — Wypijmy po kwarcie piwa a potém bywaj zdrów!

Po kwadransie rozłączyliśmy się, a ja udałem się do Dunkierki, gdzie zaciągnąłem się jako majtek na pokład francuzkiéj fregaty. Zaprzeczano mi tego stopnia z początku dla zbyt młodego wieku; lecz gdy się dowiedziano że służyłem przez trzy lata na statku '*Brousnische*, nie robiono mi więcéj trudności, a ja im dowiodłem przy pierwszéj sposobności że się nie omylili na mnie. Krótko mówiąc, tak mi się dobrze powodziło, że stopniami, nie umiejąc ani pisać, ani czytać, będąc synem biédnego rybaka, zostałem porucznikiem okrętowym. Zapomniałem panu o tém powiedzieć żem się ożenił, — albo raczéj nie zapomniałem, lecz wspomnienie to tak jest przykrém dla mnie że go zawsze unikam. Marja! biédna Marja! umarła, panie, we dwa miesiące po ślubie! umarła wydawszy na świat syna! O mało nie oszalałem, kiedy powracając z wyprawy zasztukałem do drzwi mojego mieszkania, a matka moja wyszła zalana łzami! Zro-

zumiałem wszystko, chociaż nie rzekła do mnie ani słowa, porwałem za puginał aby położyć kres mojéj boleści; lecz matka wciągnęła mię do pokoju mojéj żony i pokazała kolébkę dziécięcia. Nie mogłem już umiérać, i żyć postanowiłem. Przez wiele jednak miesięcy jeszcze przez wiele lat nawet, ile razy znajdowałem się w bitwie, wśród razów puginału i świstu kul, pytałem się z goryczą: czyliż an jedna nie jest dla mnie przeznaczona? lecz myśli te opuściły mię nareszcie, i dziękuję za o Bogu.

— Jak idzie robota panie poruczniku?

— Na moję duszę! słuchając zapomniałem o niéj, odpowiedział cicho pan de Forbin, tak mi jest na sercu, jak gdybym miał płakać! Ale nie, — na marynarza nie przystoi płakać tak jak żagiel, który przez cały dzień był na dészczu. A twój syn, co z nim zrobiłeś?

Skoro miał już lat siedm, wziąłem go na pokład, aby został marynarzem, równie jak jego ojciec. Chłopak z początku nie wiele znajdował upodobania w tém rzemiośle, i kiedy pierwszy raz posłyszał świstające kule około swéj głowy, przeląkł się i chciał się ukryć. Zawstydziłem się i gniéw mię uniósł; syn Jana Barth miałby drżéć i uciekać! Przywiązałem go własnemi rękami do masztu okrętowego, i zostawiłem tak przez kwadrans wśród ciągłego ognia nieprzyjacielskiego; potém odwiązałam go i wziąwszy za rękę wprowadziłem na pomost zarzucony na statek nieprzyjacielski, w same ognisko walki. Malec skorzystał z téj nauczki, gdyż się dzielnie spisał, i rąbał tęgo po drodze każdego, kto mu się tylko nawinął. Gdy powróciłem na ląd, wielu przyjaciół moich ganiło mi takie postępowanie, między innemi nawet sam ksiądz proboszcz, i musiałem, pomimo mego przekonania, oddać syna do szkoły aby się nauczył czytać i pisać. Już dwa lata jak się uczy, lecz niechaj się śpieszy, bo jak wydostanę się tylko z te-

go przeklętego więzienia, wezmę go zaraz na morze, aby się nim ucieszyć cokolwiek.

W téj chwili pan de Forbin zeszedł z rusztowania, jakie wystawił za pomocą krzesła i stołu aby się dostać aż do okna.

— Wszystko idzie dobrze, rzekł schylając się Janowi do ucha, krata jest prawie zupełnie przepiłowana,za najmniejszém wstrząśnieniem wyłamie się.

— Lecz któż u kata! mógł przysłać panu tę piłkę?

— Tego ja nie wiem, lecz tajemni przyjaciele, którzy nam przyszli na pomoc, nie opuszczą nas zapewne, wyświadczywszy tak zręcznie pierwszą przysługę; dobréj nocy, Janie Barth.

— Dobréj nocy panie de Forbin.

I obadwa zasnęli głęboko.

V.

W miesiąc prawie po odjeździe swego syna, udała się pani Barth do Dunkierki, gdzie ją powoływał ważny interes sprzedania sérów, wyrabionych w jéj folwarku nad potrzebę domową, jakie zawsze z chęcią zamieniała na dobre, brzęczące talary. Całe miasto znalazła w

poruszeniu: nawet ludzie z gminu spotkawszy się mówili tylko o nieszczęśliwym wypadku, który zajmował wszystkie umysły, ta szanowna kobiéta dowiedziała się także wkrótce, że *Perła* i *Wędżony śledź* zostały zdobyte przez dwa statki angielskie, i że ich osada po części poszła w rozsypkę, a po części dostała się do niewoli. Słysząc to biédna matka, która wiedziała iż syn jéj był na pokładzie *Wędzonego śledzia*, uczuła swe siły odbiegające i padła zemdlona na środku rynku. Otoczono ją, przyprowadzono do przytomności i pytano o przyczynę tak nagłéj i wielkiéj boleści.

— Mój syn! zawołała, mój syn jest na pokładzie *Wędżonego śledzia*!

— Jak on się nazywa? zapytał ktoś.

— Jan Barth.

To sławne imie żywe sprawiło wrażenie na zgromadzonym tłumie naokoło podeszłéj kobiety, powtarzano imie Jana Barth i łączono je z imieniem jego matki.

— To jest matka Jana Barth! sławnego Jana Barth!

— Wy znacie imie mojego syna? mój Boże, cóż się więc z nim stało?

— Burmistrz wam powie bezwątpienia czyli on zginął, czy też znajduje się pomiędzy niewolnikami.

— Idźcie do niego, poradził któś!

I powiększający się coraz tłum zaprowadził biédną kobiétę do burmistrza. Po drodze, wszyscy przechodzący pytali się o przyczynę tak wielkiego zgromadzenia, a odebrawszy odpowiedź, że matka Jana Barth udaje się do burmistrza aby zasięgnąć wiadomości o losie syna, przyłączali się do tłumu, tak dalece, że przeszło 1000 osób otaczało panią Barth kiedy stanęła przed ratuszem. Jeden z woźnych wyszedł dowiedzieć się, co za powód sprowadza tak wielką ciżbę do magistratu. Gdy imie Jana Barth doszło jego uszu, zdjął czapkę z uszanowaniem i wprowadził natychmiast starą wieśniaczkę do kancelarji burmistrza. Skoro Stanęła we drzwiach, osłupiała z podziwienia; spostrzegła bowiem w głębi téj sali, w miejscu honorowém, naturalnéj wielkości portret

swego syna w mundurze porucznika okrętowego. Natenczas zrozumiała wszystko; i mądrą tajemnicę swego syna, i wrażenie jakie wywierało na tłumie imie Jana Barth. Z resztą, ona nie mogła się mylić. gdyż nietylko podobieństwo twarzy i caléj postaci było nadzwyczajne, lecz nawet blizna, którą ten marynarz miał na czole, od prawéj skroni aż do brwi lewego oka, mocno była odznaczoną na portrecie.

— Mój syn! zawołała, mój syn! czy wiecie co o moim synie?

— Pani odpowiedział urzędnik, podniosłszy się przed starą kobiétą z u szanowaniem i ofiarując jéj swe własne krzesło, niestety! smutną tylko wiadomość udzielić mogę o losie porucznika Jana Barth; on został jeńcem wojennym.

— On żyje! on żyje! Ach dzięki Bogu! zawołała stara Flamandka wznosząc ręce z wdzięcznością ku niebu.

Zaledwie po kilku chwilach zdołała przyjść

do siebie i nabrać zwykłéj krwi zimnéj i przytomności umysłu.

— Panie, rzekła do burmistrza, czy pan wiesz w którém mieście osadzili swoich jeńców Anglicy?

— Podług ostatnich wiadomości, jakie odebrałem, panowie porucznicy Barth i de Forbin znajdują się uwięzieni w cytadeli w Plymouth.

— Dziękuję, rzekła. Lecz przebacz pan mojéj niewiadomości, — czy można udać się z Dunkierki do Plymouth morzem?

—Bezwątpienia,można,odpowiedział burmistrz uśmiechając się.

— Dziekuję, rzekła i oddaliła się zamyślona; wsiadła na swój wózek i poganiała ciągle biczem konia, chcąc przyspieszyć o kilka chwil swój powrót.

Wśród późnéj nocy zasztukała do drzwi swoich zięciów, którzy spodziewali się jéj dopiero nazajutrz; żony ich wybiegły pomięszane aby drzwi otworzyć.

— Mój Boże! mój Boże! wołały widząc bla-

dość i zmartwienie swéj matki, cóż to za nieszczęście się przytrafiło?

— Wielkie nieszczęście! Jan Barth jest jeńcem angielskim.

— A więc, zawołali razem dwaj zięciowie pani Barth, pójdziemy go uwolnić! nie napróżno przez 25 lat byliśmy rybakami, pierwéj nim wzieliśmy się do roli.

— Tego spodziéwałem się po was, moje dzieci! Posłuchajcie mię dobrze: Jan Barth, mój szlachetny, mój kochany syn posiada wysoki stopień w marynarce. On jest porucznikiem okrętowym! On jest szlachcicem! On jest ozdobiony orderami przez króla! On wszystko to ukrywał przed nami, gdyż obawiał się, abyśmy nie stracili do niego śmiałości, gdybyśmy wiedzieli iż on nie jest prostym majtkiem!

— Dobry brat! wyjąkały siostry szlochając.

—*Saeredje*! my go uwolniemy! zawołali ich mężowie.

— Do tego potrzeba łodzi, złota, odwagi i zręczności. Wy jesteście dzielne chłopaki, z odwagą i stałością! słuchajcie mię więc. Mówicie po holendersku równie dobrze jak mieszkańcy tego kraju, po angielsku wysłowić się możecie tak, iż was każdy anglik zrozumie. Trzeba więc abyście udali się lądem do Holandji, do naszego krewnego Jakóba Bogaerts. Opowiécie mu nasze położenie i nasz zamiar. Z łatwością dostarczy on wam holenderskiego paszportu rybackiego. Z takim paszportem będziecie mogli udać się bezpiecznie do Plymouth, i tam pracować nad uwolnieniem swojego brata. Teraz, chodźcie ze mną, dam wam wszystkie klejnoty, wszystko srebro jakie posiadam. Kiedy wy będziecie odbywać drogę do Holandji, ja zaciągnę pożyczkę na mój dom, a nawet sprzedam go, jeżeli będzie potrzeba! czyliż to nie jest dar Jana! Przybywszy do Plimouth znajdziecie już tam potrzebną summę do waszego zamiaru.

Dwaj poczciwi Flamandczycy, nie wachają się, ani też namyślając wiele, uściskali swe żony, które dodawały im odwagi, w ich szlachetnym zamiarze. Wziąwszy od pani Barth złoto i klejnoty, poszli do Bergues dla kupienia koni, i z tamtąd udali się ku granicy Holandji. Dostali się do tego kraju, przebywszy liczne niebezpieczeństwa, których uniknąć zdołali jedynie za pomocą swéj zimnéj krwi i zręczności ukrytéj pod wieśniaczą powierzchownością. Trzeba było przedrzyć się przez liczne oddziały armji, przebyć granicę strzeżoną niezliczonemi wojskami, i podejść czujność żołdaków najemnych, którzy za nic ważyli sobie życie wieśniaka i gotowi byli zabić go pod najmniejszym pozorem. Oni przezwyciężyli te wszystkie przeszkody i przybyli do swego krewnego. Ten nie wachał się ani na chwilę w udzieleniu pomocy do ich szlachetnego zamiaru i wystarał się o paszport, za pomocą którego można było tylko odbyć żeglugę pomiędzy statkami krążącemi po morzu, które strzegły ściśle brzegów Anglji i Holandji. Wytrzymaw-

szy burzę morską i ogień fregaty francuzkiéj wprowadzonéj w błąd flagą holenderską, jaką wywiesić musieli przepływając około statku angielskiego, przybyli nareszcie do portu w Plymouth, gdzie wylądowali, opowiedziawszy że burza wyrzuciła ich tak daleko od domu. Z początku miano ich na baczności z niejakiém niedowierzaniem, lecz wkrótce zapomniano o dwóch prostych majtkach, którzy przepędzali cały dzień w szynkowni, i jak się zdawało, troszczyli się tylko o to, aby mogli pić od rana do wieczora. Pod pozorem zarobienia na swe życie nieporządne i pijackie, wypływali co dzień z portu, zarzucali sieci na morzu, i powracali z obciążoną łodzią rybami które przedawali zwykle urzędnikom celnym, a ci odstępowali je kupcom w mieście z wielką dla siebie korzyścią. Wkrótce dwaj rybacy holenderscy znani byli od wszystkich osób uczęszczających do portu Plimouth, i zjednali sobie wielu przyjaciół przez swę szlachetność, dobry humór, i zręczność z jaką spełniali kufle piwa i porteru.

Pewnego dnia rano przechodząc się około cytadeli w Plimouth, spostrzegli piekarza, niosącego chléb w koszu na plecach i zmierzającego do więzienia, w którém Jan Barth był osadzony. Piekarz ten nie jednę kwartę wypróżnił w szynkowniach portowych z udanemi Holendrami. Spostrzegłszy tych poczciwych rybaków, uczuł iż gardło mu zaschło, i prosił ich aby wstąpili na chwilę do pięknéj szynkarki, którą miał zamiar pojąć za żonę. Przedstawienie to przyjęte zostało z pośpiechem. Pili aż do upadłego; głowa zagrzała się piekarzowi, ale za to w nogach stracił władzę; chce umieścić kosz swój z chlebem na barkach, lecz nie może trafić z nim do ładu. Piotr ofiaruje się zanieść kosz jego, piekarz przyjmuje, i otóż obadwa wchodzą do cytadeli.

Serce Flamandczyka biło gwałtownie; jednakże nie postrzeżono wcale wzruszenia na jego zimnéj twarzy, i dozwolono mu dopomagać piekarzowi w rozdziale chleba, bez wszelkiego niedowierzania, zwłaszcza że szanowny majster zwykł był przyprowadzać z sobą zawsze jednego z chłopców. Skoro przybył do izby,

w któréj znajdował się brat jego, takiego Piotr doznał wzruszenia, iż obawiał się aby się nie zdradził. Wsunął nieznacznie małą piłkę w jeden bóchenek, zamknął oczy, i odwróciwszy głowę podał go osobie, która przybliżyła się po odbiór chleba. Był to p. de Forbin; Jan Barth mocno spał naówczas. Skoro dotknął się Piotr gładkiéj i delikatnéj ręki szlachcica, poznał iż to nie Jan Barth stał przed nim; otworzył oczy i spostrzegł w głębi więzienia swego brata śpiącego; nie mógł wstrzymać łez, które cisnęły mu się do oczu, i głośne łkania wymknęły się z ust jego. P. de Forbin spojrzał na niego z zadziwieniem, lecz na szczęście podchmielony piekarz nic nie uważał. Kilka tylko sekund potrzebował Piotr aby mógł nabrać zwykłéj krwi zimnéj, i wyszedłszy z więzienia, opowiedział swemu szwagrowi wszystko to, co widział i zrobił.

Wiecie już, jaką radość sprawiła tajemnicza piłka dwom więźniom, i z jakim pośpiechem p. de Forbin zajął się robotą, w téj nadziei, że ci, którzy im zaczęli pomagać, nie opuszczą

ich i nadal. Nazajutrz, gdy rozmawiali stłumionym głosem o swych nadziejach, otworzyły się drzwi więzienia. Ujrzeli wchodzącego oficera z osady p. de Forbin, który dotychczas odłączony był od swych towarzyszów niewoli, gdyż ciężkie rany, jakie otrzymał, wymagały ciągłego starania. Był to człowiek młody jeszcze, lecz już w dawniejszéj kampańji utracił jednę rękę, i od tego czasu tusza jego tak potwornéj obszerności nabrała, że nie przecisnąłby się przez całe okno więzienne. Co też Jan Barth zaraz spostrzegł. i jednym rzutem oka dał do zrozumienia panu de Forbin swoją obawę.

— Mój kochany Janie Barth, rzekł tenże głośno, ja ręczę za przyjaciela, którego nam los sprowadza. Chociaż nie będzie miał udziału w naszym zamiarze, cieszyć się jednak będzie naszą pomyślnością, i wszystkiemi siłami będzie się starał aby go nam ułatwić.

— Przebacz mi pan i uściskaj, rzekł poczciwy marynarz podając swą zgrubiałą rękę oficerowi. Przysięgam panu na zbawienie mojéj

duszy że skoro przybędę do Francji, pierwszém mojém będzie staraniem, obmyślić środki w celu uwolnienia pana z tego więzienia. Potém opowiedział mu jakim sposobem dostali piłki, i z jaką trwogą oczekują chwili, w któréj dadzą im ich przyjaciele hasło do działania.

Ponieważ chodziło im o to, aby nie postrzeżono ich niespokojnego oczekiwania, pan de Forbin zaczął, według zwyczaju, uczyć Jana Barth, jak ma nabazgrać swoje imie i nazwisko, gdyż po wielu bezskutecznych usiłowaniach osądził, że na tém tylko ograniczyć potrzeba edukację tego marynarza, który żadną miarą nie mógł nauczyć się pisać i czytać. Jan Barth zasmarował już czwartą stronnicę papiéru, gdy usłyszał nagle dwa głosy, które mieszając się z szumem wody poruszanéj wiosłami, nuciły zwrotkę ballady, dzisiaj jeszcze znanéj powszechnie we Flandrji:

„O północy zwłaszcza panie,
Nie obawiaj się niczego.“

Rzucił się na szyję panu de Forbin i opowiedział mu to, co słyszał. Ponieważ ten dru-

gi nie wątpił także że to było hasłem ich nie-znanych przyjaciół, porobili więc wszelkie przy-gotowania, a pan de Forbin napisał list do na-czelnika więzienia, dziękując mu ironicznie za doznane względy, wraz z przyrzeczeniem wy-wzajemnienia się przy zdarzonéj sposobności. Skoro noc nadeszła, rozcięli na dwoje prze-ściéradło z łóżka, związali obadwa jego końce i położywszy się w całkowitém ubraniu, udawali głęboki sen, oczekując z niespokojnością hasła. Nagle kamień uderzył o szyby więzienne! zry-wają się ze swych łóżek w milczeniu, i ze wzruszeniem niepodobném do opisania! wyła-mują przepiłowaną kratę, przywiązują prześcié-radło, i przy pomocy odważnego, grubego ofi-cera, nie mając przekonania że na dole jest łódź jaka, gdyż zupełna ciemność otaczała wieżę, spuszczają się po wątłym płutna kawał-ku. Jan Barth przybył pierwszy na sam ko-niec: o co za rozpacz! on nie widzi, nie słyszy nikogo, a nogi jego trącają o bałwany mo-rza.

— Wróć się pan, zawołał do swego towarzysza, wróć się pan, oszukano nas, tu nie ma wcale szalupy!

Jeszcze nie skończył mówić, gdy usłyszał niespodzianie szum barki. Natenczas rzucił się w wodę i płynął w tę stronę, zkąd dochodził go szelest. Bez trudności dostał się na łódź, pan de Forbin to samo uczynił i obadwa wepchnięci zostali na sam spód statku przez dwóch nieznajomych kierujących szalupą. Ci nie mówiąc ani słowa, przykryli ich sieciami, cofnęli się do portu, i udając sen, oczekiwali pierwszych dnia promieni.

Osądźcie, jak przykre było położenie dwóch zbiegów przez cały ten czas, kiedy oni leżeli przykryci sieciami, nieruchomo, nieśmiejąc oddychać prawie, i w ciągłej obawie, aby nie odkryto ich ucieczki, nie ścigano ich, i nie wsadzono napowrót do więzienia. Nakoniec świt zabielił cokolwiek widokrąg, i dwaj rybacy, którzy nie dali się poznać tym, których wyrwali z więzienia, podnieśli się i zaczęli robić wiosłami w zamiarze opuszczenia portu. Po drodze po-

zdrowili strażników, którzy życzyli im dobrego połowu. Skoro wydostali się tylko na pełne morze, zawiesili żagiel u masztu i zaczęli z szybkością uciekać. Postępowanie takie obudziło podejrzenie, a podejrzenie to wkrótce zamieniło się w pewność, gdy ujrzano Jana Barth, który nieuprzedziwszy swoich towarzyszów, wyskoczył nagle z pod sieci, i zaczął natrząsać się Anglikom w porcie będącym. Ci odpowiedzieli wystrzałem z dwóch armat nabitych kartaczami, i Jan Barth przypłaciłby życiem może swój nierozsądny postępek, gdyby jeden z wioślarzy nie powstał raptem, i nie zasłonił go swojém ciałem jak pancerzem. To szlachetne przywiązanie wiele go kosztowało, gdyż kula utkwiła mu w ramieniu, i wiosło wypadło z rąk jego. Pan de Forbin ukryty ciągle na spodzie statku, wskoczył w morze, pochwycił wiosło i dostał się na szalupę z nadzwyczajną zręcznością i odwagą. A Jan Barth tymczasem zapominając o swym błędzie i niebezpieczeństwie, rzucił się na szyję szwagrowi, którego poznał w ranionym majtku.

— Mój szwagrze! mój dobry szwagrze! zawołał, ty o mnie nie zapomniałeś! ty naraziłeś dla mnie swoję wolność i życie! ty odniosłeś ranę, która dla mnie była przeznaczona!

Pan de Forbin jednak i jego towarzysz ciągle robili silnie wiosłami, i potrafili w końcu wyprowadzić szalupę z pod ognia artylerji portowéj; natenczas drugi wybawca Jana Barth obrócił się do tego marynarza siedzącego na krawędzi ich małego statku i zajętego tamowaniem krwi, płynącéj potokiem z rany poczciwego Flamandczyka:

— Bracie, rzekł do Jana Barth, który spoglądał na niego z zadziwieniem i uczuciem, gdyż poznał w nim swego drugiego szwagra, ja to przewidziałem i zaopatrzyłem się w szarpię i bandaże. Weź wiosło, a ja będę chirurgiem. Jan Barth uczynił, co żądano, i wkrótce ranny, starannie opatrzony, spoczywał bez wielkich boleści w głębi statku, który posuwał się szybko jak strzała. Pośpiech taki okazał się potrzebnym, gdyż spostrzegli na ostatecznym punkcie widokręgu ukazujące się dwie szalupy

angielskie, a nie łatwo było ich uniknąć. W téj chwili ujrzeli z drugiéj strony mały statek, i w nim sześciu ludzi: skierowali się do niego, zatrzymali go niespodzianie, i przyłożyli pistolety do piersi trzem majtkom angielskim, znajdującym się na tym statku.

— Jeżeli się będziecie bronić, krzyknął Jan Barth, zabijemy tych trzech ludzi natychmiast, a jeżeli uskutecznicie to, co wam powiem, przysięgam na zbawienie mojéj duszy, ani włos nie spadnie wam z głowy i przed upływem ośmiu godzin, zupełnie wolni będziecie.

Anglicy widząc że wszelki opór byłby szaleństwem oświadczyli, że gotowi są wykonać wszystko, co im będzie poleconém.

— Niech czterech z was wejdzie do naszéj barki, i ucieka ciągle przed scigającemi ją angielskiemi szalupami; skoro was dościgną, łatwo będziecie mogli przekonać ich że się omylili i wzięli was za kogo innego. Dwóch zaś waszych towarzyszy zatrzymamy jako zakładników. Jak jestem prawdziwym chrześcjaninem, nie stanie się im nic złego, i jak tylko

dostaniemy się do brzegów Francji, oni powrócą do Anglji z dobrém wynagrodzeniem. No, daléj, ruszajcie, niech was Bóg prowadzi! Lecz nie myślcie o zdradzie, gdyż życie waszych dwóch towarzyszów jest w naszych rękach.

Czterech majtków wsiadło do barki, i zaczeli uciekać przed Anglikami, jak się umówiono, a tymczasem Jan Barth i jego towarzysze kierowali się za pomocą bussoli, w którą nie zapomnieli zaopatrzyć się dwaj Flamandczykowie.

Przez zręczność i pośpiech z jakim kierowali łodzią swoją, potrafili wkrótce wyjść zupełnie z niebezpieczeństwa, i niepodobieństwem już było, aby ich mogli doścignąć Anglicy. Natenczas Jan Barth zajęty ciągle staraniem около rannego spytał się swych szwagrów, jakim sposobem dowiedzieli się iż on dostał się do niewoli.

— To wasza matka dowiedziała się w Dunkierce, i pierwsza podała nam myśl, aby wam przyjść na pomoc, gdyż myśmy potrafili tylko próżne żale rozwodzić!

— Wasza matka, powtórzył Jan Barth z

przyciskiem, i od jakiegoż to czasu, łotry! przestaliście mię tykać? — Stało się, jakem przewidział dawno; już obadwa nie uważacie mię za brata. Czyliż dla tego, żeście się dowiedzieli iż jestem porucznikiem okrętowym? No, i cóż to znaczy? — A ja wam powiadam, że przed każdym z was, który będzie mówił do mnie w w ten sposób, i przybierze taką głupią minę ceremonjalną, będę czapkę zawsze zdejmował!.. Lecz otoż nowy kłopot! flotylla angielska przybliża się. Cicho, nie obracajcie się! płyńmy prosto do nich, — aż piętnaście statków!

W istocie, trzynaście statków kupieckich, pod strażą dwóch fregat wojennnych, przybliżyło się do szalupy, i z pierwszego statku zapytano ich przez tubę morską, co za jedni byli i zkąd przybywali.

— *Fischermann*! rzekł śmiało Jan Barth, potém dodał po angielsku: czyli mam wejść na wasz pokład?

— Nie ma potrzeby, odpowiedział kapitan, powiedz nam tylko, czy to jest prawda, że porucznicy de Forbin i Jan Barth znajdują się pomiędzy jeńcami wojennemi. Przybywamy z

Indji: po drodze pewien statek udzielił nam téj wiadomości, pragniemy wiedzieć, czy jest prawdziwą.

— To są bajki! odpowiedział Jan Barth, i podniosłszy swą czapkę do góry, zawołał, dobréj nocy, kapitanie!

— Szczęśliwego połowu, towarzysze!

I barka przepłynęła spokojnie pomiędzy statkami angielskiemi.

VI.

Podeszła matka Jana Barth, od czasu jak się dowiedziała że syn jéj jest w więzieniu, utraciła zupełnie spokojność. Chodziła i powracała ciągle, błądząc jak dusza pokutująca, od swych córek do mieszkania księdza proboszcza. U córek, płakała wraz z niemi; u proboszcza, prosiła go ciągle, aby odprawiał msze za szczę-

śliwe uwolnienie syna. Dobry proboszcz, prawie równie zmartwiony jak ona, pocieszał ją przecież, chociaż sam nie miał wiele nadziei; gdyż cudu tylko trzeba było, aby uwolnić więźniów, a na cuda Bóg nie zawsze zezwalać raczy! Jednakże szanowny kapłan odprawiał co dzień mszą na intencją Jana Barth, a pani Barth i jéj córki były zawsze przytomne temu nabożeństwu, zalewały się łzami i modliły się z gorącem uczuciem i wiarą. Wiele już czasu upłynęło a syn jéj i zięciowie nie pokazywali się wcale. Żony tych ostatnich coraz w większym były pogrążone smutku, a ich matka pytała się z trwogą, czyli wysyłając ná pomoc synowi swemu ojców rodziny, nie stała się przyczyną owdowienia i sieroctwa. Trudno wyobrazić sobie cały ogrom ciérpień téj biednéj kobiéty. Były chwile, że gubiła się w domysłach i rozum ją prawie odchodził.

Cztery miesiące upłynęły wśród tak okropnych cierpień, i nieszczęśliwe utraciły już zupełnie nadzieję. Pewnego poranku udały się jak zwykle na mszą do ich parafjalnego ko-

ściołka; jeszcze dzień nie zajaśniał, a blade światło dwóch cienkich świec woskowych, błyszczących na ołtarzu, powiększało smutne tych miejsc wrażenie i odpowiadało zupełnie usposobieniu serca téj nieszczęśliwéj rodziny.

Gdy kapłan obrócił się, aby powiedzieć Ite missa est, a pani Barth, jéj córki i małe dzieci schyliły kornie czoła aby odebrać ostatnie błogosławieństwo, radość i zdziwienie odmalowało się na jego twarzy; dokończył obrzędu świętéj ofiary, i zaśpiéwał głosem drżącym radośny hymn Te Deum. Cztéry głosy męzkie odpowiedziały mu, kobiéty obróciły się wzruszone do łez. Jan Barth stał za niemi wraz z swemi dwoma szwagrami i panem de Forbin. Matka pobiegła do swego syna. Marja i Teressa rzuciły się w objęcia swoich mężó, a małe dzieci otoczyły uszczęśliwioną rodzinę. I wszystkie głosy zjednoczyły się, głosząc szczęście swe i wdzięczność radośnym hymnem.

Skoro oddali hołd winnéj wdzięczności Bogu, proboszcz oznajmił chęć przyjęcia w domu

woim tych, których Bóg powrócić im raczył na prośby jego, albo raczéj, dodał, na prośby pani Barth.

Łatwo się domyślić że uczta była wesołą, i że przyjmowano jak najlepiéj pana de Forbin; pani Barth poznała w nim podróżnego, któremu przed pięciu miesiącami ofiarowała w domu swoim gościnne przyjęcie. Przy końcu uczty, opisał on walkę, w któréj został jeńcem wojennym, i opowiedział wszystkie szczegóły ich uwolnienia. Gdy przyszedł do chwili, w któréj przepływali pomiędzy przewozowemi statkami angielskiemi, tak mówił daléj:

— Niebezpieczéństwo dodało nam siły; żeglowaliśmy pół trzecia dnia przez kanał, wśród pięknéj pogody, zakryci mgłą, która sprzyjała naszéj ucieczce. W czasie tej długiéj przeprawy niezmordowany Barth robił ciągle silnie wiosłem, przestając tylko na chwilę, aby zjeść kawałek chleba z pośpiechem; nakoniec przybyliśmy do brzegów Bretanji, zrobiwszy 64 mil w przeciągu 88 godzin niespełna.

Wylądowaliśmy bardzo rano o sześć mil od

Saint-Malo przy wiosce nazywającéj się Harqui. Spotkało nas sześciu zbrojnych ludzi, przeznaczonych do strzeżenia brzegów morskich, jeden z tych żołnierzy, który dawniéj był sierżantem w marynarce, poznał mię i ukłoniwszy się przystąpił do mnie.

— Ach jakże jestem kontent, że mogę pana oglądać jeszcze; wszyscy mieli już pana za umarłego.

Rzeczywiście, sądzono że już nie żyję; ucieczka mojego służącego była powodem téj pogłoski, który opowiadał iż w skutek poniesionych ran umarłem, mój brat starszy, kapitan okrętowy, wysłany w celu zasiągnięcia dokładnych wiadomości, spotkał statek kupiecki, na którym znajdowali się moi majtkowie, i wysłuchawszy ich opowiadania o stanie, w jakim mię zostawiono, uwierzył iż ja w istocie z ran poległem. Marszałek d'Etrées, dowodzący w Brest, chciał ukarać mojego służącego, iż mię tak haniebnie opuścił, lecz wysłuchawszy jego zręcznéj obrony, kazał go wypuścić na wolność.

W Saint-Malo spotkałem kilku kupców, którzy powziąwszy wiadomość o położeniu, w jakiém się znajdowałem, udzielili mi wszelkiéj pomocy, jaka tylko była w ich możności.

Podziękowałem im za ich szlachetne postępowanie, i zaopatrzywszy się w potrzebne pieniądze na drogę, kazałem przyprowadzić konie pocztowe, i oto przybyliśmy w wasze objęcia. Jutro rano odjeżdżam do Paryża. Syna pani nie mogę namówić aby mi towarzyszył; on którego nie przerazi baterja armat nieprzyjacielskich, drży na samo wspomnienie stawienia się osobiście przed królem, i obawia się nieukontentowania I. K. Mości z powodu naszéj ostatniéj wyprawy; lecz ja zobowiązuję się załatwić rzecz całą.

Pan de Forbin wyjechał rzeczywiście nazajutrz rano do Paryża. Umieszczamy tu co do słowa opowiadanie dalszych jego wypadków, wyjęte z pamiętników po nim pozostałych.

„Skoro przybyłem do Paryża, pierwszém mojém staraniem było, udać się do pałacu kardynała de Janson, aby się dowiedzieć od niego

jak na dworze przyjęta była wiadomość o naszéj wyprawie i utracie dwóch królewskich okrętów. Dobry ten kardynał, który właśnie przybył natenczas z Wersallu, wykrzyknął z podziwienia, uściskał mię i okazał oznaki żywéj radości, widząc mię przy życiu i uwolnionego z więzów angielskich.

Poznałem z tak uprzejmego przyjęcia, że nie wypadliśmy z łaski u dworu; spytałem go się jednak o bliższe wiadomości w tym przedmiocie.

— Mój kuzynie, odpowiedział, możesz przedstawić się u dworu bez żadnéj obawy: p. de Seignalai odebrawszy list twój, przeczytał go tego samego dnia królowi; zadowoleni są zupełnie z ciebie i pana Barth, sam król i cały dwór unosił się nad waszém poświęceniem się i niebezpieczeństwem, z jakiém usiłowaliście ocalić flotę. Nie będziesz potrzebował mojego wstawienia się, udaj się do ministra marynarki i bądź pewnym że cię dobrze przyjmie.

Ucieszony tą wiadomością, udałem się do p. de Seignalai:

Jak tylko wszedłem na salę, służący, ktorego obowiązkiem było oznajmiać przybywające osoby, pobiegł natychmiast do swojego pana aby go zawiadomić o mojéj obecności.

— Czyliż rozum utraciłeś! rzekł minister, de Forbin znajduję się w więzieniu angielskiém ale nie w moim przedpokoju

Służący obstawał przy swojém, i oświadczył swemu panu, iż mnie zna bardzo dobrze i że ja rzeczywiście oczekuje w przedpokoju.

Minister, chcąc przeświadczyć się o tém na swe własne oczy, wyszedł z gabinetu i ujrzawszy mnie;

— Zkąd pan przybywasz? zawołał.

—Z Anglji, odpowiedziałem.

— Lecz którędy się pan wydostałeś, zapytał minister.

— Przez okno J. W. Panie, odrzekłem,

— Na te słowa śmiać się zaczął.

Chciał wiedzieć potém okoliczności naszéj ucieczki, opisałem mu ją ze wszystkiemi szczegółami; widząc że opowiadanie to podobało mu się i że jest zadowolony ze mnie, prosiłem go

ażeby mi podał sposobność odwetu. Usłyszawszy to, spojrzał na mnie śmiejąc się, powstał i zaprowadził mię do króla, który chciał poznać nasze wypadki.

Skoro skończyłem mówić, minister odezwał się do J. K. Mości.

— N. Panie, rzekł, pierwsze były słow pana de Forbin aby mu podać sposobność do odwetu.

— Jak to! zapytał król obróciwszy swą mowę do mnie.

— N. Panie, odpowiedziałem, okręty W. K. Mości były daleko lepsze i lepiéj zbudowane jak okręty nieprzyjacielskie; gdybym dowodził statkiem o 50ciu działach, zdobyłbym bezwątpienia dwa okręty angielskie, które zabrały nas do niewoli.

Słysząc to pan de Seignelai ucieszył się bardzo, gdyż dla niego nie mógłbym znaleźć przyjemniejszego nad to pochlebstwa.

Nazajutrz spotkałem go, gdy powracał od

króla; był w lektyce; kazał zatrzymać się i rzekł do mnie:

— Panie de Forbin, król mianował cię kapitanem okrętu i przeznaczył 400 talarów gratyfikacji, jako nagrodę za poniesione straty.

Zachwycony tak dobrą nowiną, podziękowałem mu za jego protekcją, któréj przypisywałem wszystkie łaski, jakie mię spotkały. Przedstawiłem mu potém iż nie powiedział mi nic względem pana Jana Barth, o którym dwór zdawał się zapominać, a on przecież zasłużył aby o nim pamiętano, gdyż nie mniéj jak ja zasług położył. Pan de Seignelai słuchał uważnie, i zasunąwszy okno u lektyki, oddalił się nic nie powiedziawszy.

Postanowiłem zaraz złożyć podziękowanie J. K. Mości za wyświadczoną łaskę i udałem się do pana de Luxembourg, kapitana gwardji, aby mnie przedstawił, co on też z chęcią przyrzekł uczynić. Po drodze przedstawiłem mu iż zapomniano o panu Barth, człowieku nizkiego wprawdzie urodzenia, lecz znakomitéj zasługi,

który nie powinien zostać bez wynagrodzenia; i dodałem że jeżeli wesprzeć go raczy swoją protekcją, ośmielę się prosić króla w tym przedmiocie. Marszałek, zachwycony moją wspaniałomyślnością, uściskał mnie i rzekł.

— Nie potrzebujesz, jak tylko jedno słowo powiedzieć, ja sam dokończę, nie turbuj się.

W téj chwili król wyszedł, udając się na mszą według zwyczaju. Złożyłem moje podziękowanie, a król odpowiedział.

— Służ mi pan tylko ciągle dobrze, a będę pamiętał o panu. Odpowiedziałem głębokim ukłonem; poczém odezwałem się.

— N. Panie, ośmielam się przedstawić W. K Mości że zapómniany został pan Barth, człowiek zasłużony, który podczas ostatniéj wyprawy z równym jak ja zapałem służył W K. Mości.

— N. Panie, dodał p. de Luxembourg, to co pan de Forbin powiedział, jest prawdą, za Barthem mówi jak najlepsza opinja.

Król zatrzymał się i obrócił do pana

de Louvois, który znajdował się obok niego.

— Pan de Forbin, rzekł, wypełnił szlachetny postępek, jaki nie często zdarza się na naszym dworze.

Nazajutrz udałem się do pana de Seigneilai: skoro mnie zobaczył, uściskał i rzekł:

—A cóż, panie de Forbin, jesteś zadowolony, król polecił mi okazać te same względy dla porucznika Barth, co i dla pana. Wczorajszy postępek pana niewymowne sprawił mi ukontentowanie, on jest piękniejszy jeszcze i szlachetniejszy niżeli ten, który spełniłeś poświęcając się dla ocalenia floty.

Korzystając ze sposobności i z dobrego usposobienia w jakiém go znalazłem, prosiłem aby pamiętano o moim grubym poruczniku, który pozostał w więzieniu w Plymouth.

— Pan jesteś bardzo szlachetny, odpowiedział minister, nie zapominasz o nikim.

Jan Barth znajdował się u matki, gdy otrzy-

mał tak pomyślne wiadomości; odjechał w kilka dni potém do Dunkierki, rozpoczął znowu swój świetny zawód, i nieraz odpłacił się dobrze Anglikom za swą krótką niewolę.

MALGOSIA.

przez Alfreda de Musset.

W Paryżu, w wielkim, gotyckim domu, przy ulicy Perche, w okręg Maran mieszkała w r. 1804 podeszła dama, znana i kochana od wszystkich sąsiadów; nazywała się p. Doradour. Była to kobiéta dawnéj daty, nie wyso kiego urodzenia, lecz z uczciwego, mieszczań.

skiego stanu, majętna, pobożna, wesoła i litościwa. Prowadziła życie zupełnie samotne; rozdzielać jałmużnę i grać w bostona ze swemi sąsiadami, to były jéj jedyne zatrudnienia. Jadano u niéj obiad o godzinie drugiéj, wieczerzę o dziewiątéj. Wychodziła tylko do kościoła, a niekiedy powracając obeszła naokoło plac królewskim zwany. Krótko mówiąc, p. Doradour zachowała zwyczaje a nawet ubiór swojego czasu, czytała raczéj godzinki aniżeli dzienniki, i nie troszcząc się o wypadki w świecie, pragnęła tylko, aby mogła umrzeć spokojnie Ponieważ lubiła gawędzić, miała też ciągle w swym domu, od dwudziestu lat jak została wdową, pannę dla swojego towarzystwa. Panna ta nie opuszczała ją nigdy i stała się dla niéj przyjaciółką. Widziano je zawsze obiedwie razem, na mszy, na przechadzce, lub też przy kominku. Klucze od piwnicy, szaf, a nawet od kantorka były w ręku panny Urszuli. Była to dziewczyna wysoka, sucha, z mężkiemi ruchami, mówiła końcami ust tylko, nadzwyczaj rozkazująca, i dosyć krzykliwa. Pani Doradour

będąca dosyć niskiego wzrostu, mówiąc do niéj czepiała się u jéj ramion, nazywała ją swoją najukochańszą i dała się jéj wodzić na pasku. Ślepe zaufanie pokładała w swojéj ulubieniey i zapewniła jéj naprzód znaczny zapis w swoim testamencie: panna Urszula wiedziała o tém, okazywałe też z obowiązku jak największe przywiązanie, mówiła o niéj zawsze z oczami ku niebu wzniesionemi, i z westchnieniami wdzięczności. Łatwo się domyślić że panna Urszula była prawdziwą panią domu. Kiedy pani Doradour zajęta była w głębi swego salonu robotą pończochy, panna Uszula, z kluczami za pasem, przebiegała korytarze, biła we drzwi, płaciła kupcom, i utrzymywała karność domową; lecz gdy nadeszła godzina obiadowa i zebrało się towarzystwo, okazywała się z bojaźnią w skromném, ciemném ubraniu, witała wszystkich uniżenie, stała ciągle na boku, i składała na pozór swoję władzę. W kościele, nikt nie modlił się z większém powierzchowném nabożeństwem, ani też nie zniżał bardziéj oczów; przytrafiło się raz pani Doradour, któréj pobożność szczerą była,

iż zdrzymała się w środku kazania; panna Urszula trąciła ją łokciem, a kaznodzieja bardzo był jéj za to wdzięczny. P. Doradour miała swoich dzierżawców, lokatorów, zawiadowców, panna Urszula sprawdzała wszystkie rachunki, i pod względem drobiazgowych zarzutów, była nieporównaną. Ani jednego proszku, dzięki jéj, nie było w całym domu; wszystko było wymyte, białe, wytarte, wyszczotkowane, sprzęty w porządku, bielizna czysta, naczynia błyszczące się, zegary regularnie nakręcone; wszystko to było potrzebne dla rządczyni aby mogła łajać do woli, i w całéj swéj chwale panować.

Pani Doradour znała wprawdzie błędy swéj dobréj przyjaciołki, lecz ona w całém swojém życiu widziała jasno w świecie tylko to, co jest dobrém. Złe zawsze dla niéj było niejasném; znosiła go nie rozumiejąc. Zresztą, przyzwyczajenie mocny wpływ na nią wywierało; panna Urszula już od dwudziestu lat podawała jéj rękę, i pijały z sobą co rano kawę. Kiedy jéj

wychowanka zanadto krzyczała, pani Doradour opuszczała pończochę, podnosiła głowę, i pytała się swym cieniuchnym fletowym głosem: „Co to jest takiego? moja kochanko?". Lecz kochanka nie zawsze raczyła odpowiedzieć, a jeżeli wdała się w tłumaczenie, nastąpiło to w taki sposób, że pani Doradour powracała natychmiast do pończochy, nucąc piosnkę pod nosem, aby już więcéj nie słuchać.

Łatwo wniesiecie z tego opowiadania że panna Urszula oszukiwała cały świat, zacząwszy od swojéj pani; nietylko odciągała na swoją korzyść znaczną część z wydatków, któremi zarządzała, lecz przywłaszczyła sobie także, na rachunek testamentu, rzeczy, bieliznę, a nawet niektóre klejnoty. Smiałość swoją wkońcu do tego stopnia posunęła, że wyniosła pierścieńnicę z brylantami, których wprawdzie pan Doradour nie używała wcale, lecz chowała oddawna w szufladzie, na pamiątkę swych zagasłych wdzięków. Pani Doradour nie chciała oddać do sądu po ukaranie kobiétę, którą kochała, ograniczyła się tylko na oddaleniu jéj,

i postanowiła nigdy już ją więcéj nie widzieć, lecz wkrótce tak się stała dla niéj samotność okropną, iż gorszkie łzy wylewała, i pomimo swéj pobożności, złorzeczyła niestałości wszystkich rzeczy na tym padole płaczu i nielitościwym igraszkom losu, które nie szanują nawet starych i słodkich złudzeń naszych.

Jeden z jéj dobrych sąsiadów, pan Després przyszedł ją odwidzić i pocieszyć;

— Cóż się ze mną stanie teraz? rzekła. Nie mogę żyć sama; gdzież znajdę nową przyjaciółkę? Ta, którą utraciłam, była mi tak drogą, tak się do niéj przyzwyczaiłam, iż żałuję, że już jéj nie mam, nawet pomimo jéj niewdzięczności względem mnie; któż mi zaręczy za drugą? jakież zaufanie będę mogła pokładać w nieznajoméj?

— Nieszczęście to byłoby nieodżałowaném, odpowiedział p. Després, gdyby stało się duszy takiéj, jaką masz pani, przyczyną zwątpienia i o cnocie. Znajdują się na świecie ludzie źli obłudni, lecz są także i poczciwi. Weź pani inną pannę dla swego towarzystwa, zaufanie

pani raz zostało zawiedzioném, trzeba starać się aby drugi raz nie było tego samego przypadku.

— Pan słusznie mówisz, rzekła pani Doradour, lecz prawdziwie, ja jestem w wielkim kłopocie. Nie znam żywéj duszy w Paryżu. Czybyś pan nie mógł wyświadczyć mi téj przysługi, i postarać się o jaką uczciwą panienkę, któraby znalazła u mnie jak najlepsze przyjęcie, i przynajmniéj podałaby mi rękę, kiedy wychodzę do Śgo Franciszka.

Pan Després, nie bardzo zwinny i nie wiele stosunków mający, zaczął jednak starać się, i po kilku dniach, pani Doradour miała nówą pannę, którą wkrótce całém swém zaufaniem, a nawet przyjaźnją obdarzyła, gdyż równie lekkomyślną była jak dobrą. Lecz po upływie dwóch miesięcy, trzeba było oddalić także i nowo przybyłą, z przyczyny złego jéj prowadzenia się. Nowy powód do zmartwienia dla pani Doradour. Chciała sama zająć się wyborem, wypytywała się sąsiadów, czytała nawet doniesienia, lecz nie była szczęśliwszą. Zaczęła już rozpaczać; widywano natenczas tę poczci-

wą kobiétę, jak sama szła do kościoła podpiérając się laską: postanowiła dni swych dokończyć bez wszelkiéj pomocy, tak przynajmniéj mówiła do swych sąsiadów, i starała się wesoło znosić na pozór swój smutek i swój wiek podeszły; jéj nogi drżały jednak kiedy wchodziła na schody, bo miała już 75 lat wieku; nie mogła znieść samotności i jéj zdrowie, i tak już osłabione, pogorszyło się jeszcze.

Miała ona jedynego syna Gastona, który od najmłodszych lat poświęcił się zawodowi wojskowemu, i natenczas stał garnizonem na prowincji. Opisała mu więc swoje położenie, i prosiła go, aby przybył zapobiedz nudom jakich doznawała.

Gaston czule kochał swoię matkę, zażądał urlopu i otrzymał go, lecz na nieszczęście pułk jego stał garnizonem w mieście Strasburgu gdzie, jakto wiecie, najpiękniejsze są gryzetki z całéj Francji. Tam tylko widzieć można te ciemnowłose niemki, pełne zarazem żywości francuzkiéj i giermańskiéj tęsknoty. Gaston zjednał sobie łaski u dwóch ładnych dziewcząt

przedających tytoń, które nie pozwalały mu oddalić się; napróżno przekładał im swoje powody, pokazał nawet list matki, one tak dalece namowami swemi usidlić go potrafiły, iż dał się przekonać, i zwlekał od dnia do dnia swój wyjazd.

Tymczasem pani Doradour w ciężką zapadła słabość. Ona była z natury swojéj tak wesołą, wszelkie zmartwienie tak było jéj niewłaściwém, iż ono koniecznie u niéj słabością się objawić musiało. Lekarze nie wiedzieli co począć:,, Opuśćcie mię, mówiła do nich, ja chcę umrzéć w samotności; ponieważ wszyscy, których kochałam, porzucili mię, dla czegóż miałabym dbać o tę resztę życia, które mi pozostaje jeszcze?

Głęboki smutek panował w domu, i zarazem największy nieporządek. Służący widząc swoję panią umiérającą, i wiedząc że testament już sporządzony, zaczęli ją zaniedbywać. Pokoje dawniéj tak dobrze utrzymane, meble tak porządnie ustawione, pokryte były kurzem. ,, O moja droga Urszulo! zawołała pani Doradour,

moja najukochańsza Urszulo, gdzież ty jesteś? — Tybyś ztąd wypędziła mi tych łotrów!

Jednego dnia, w czasie najmocniejszéj słabości, ujrzano ją z wielkiém podziwieniem, iż podniosła się na łóżku, odsunęła firanki, i włożyła okulary. Trzymała w ręku list, który dopiero co jéj przyniesiono, i rozwinęła go starannie. U góry listu była winjeta przedstawiająca świątynią przyjaźni, wśrodku znajdowały się dwa gorejące serca na ołtarzu; pismo było duże, pociągłe i równe, większe głoski z długiemi zakrętami. List ten obejmował powinszowanie na nowy rok i zawarty był prawie w następujących wyrazach:

Łaskawa pani i chrzestna matko moja!

Biorę pióro do ręki, aby powinszować pani zdrowia szczęścia i wszelkich pomyślności, imieniem całéj rodziny mojéj, gdyż ja tylko sama potrafię pisać. Ojciec, mama i bracia winszują pani także; dowiedzieliśmy się że pani jest słabą, i prosiliśmy Boga o przywrócenie jéj zdrowia; co też niezawodnie nastąpi. Ośmie-

lam się przesłać pani przy tém piśmie kopę karczochów i pozostaję z uszanowaniem.

przywiązana córka chrzestna i sługa
Małgorzata Piedeleu.

Pani Doradour przeczytawszy ten list, włożyła go pod poduszkę, kazała poprosić do siebie pana Després i podyktowała mu odpowiedź; nikt w domu nie wiedział jéj treści, lecz skoro odesłaną już została, chora okazała się spokojniejsza, i po upływie kilku dni, widziano ją tak wesołą i tak zdrową jak dawniéj.

II.

Stary Piédeleu był rodem z departamentu Eure-et-Loir, tam przepędził całe życie swoje i tam spodziéwał się umrzeć. Był to podeszły, uczciwy dzierżawca z włości Honville, niedaleko Chartres, należącéj do pani Doradour. Nie widział on od urodzenia swego ani dużego lasu, ani gury; gdyż nie oddalał się z swego

folwarku jak tylko do przyległego miasta i w okolice, a jak wiemy, cały ten departament jest płaszczyzną. Widział wprawdzie rzekę Eure, która płynęła przed jego domem, lecz że morze było na świecie, wierzył tylko jak w raj po śmierci, to jest miał zamiar odwiédzić go kiedy. Trzy też tylko przedmioty wprawiały go w zachwycenie: dzwonnica w Chartres, ładna kobiéta, i łan pięknem zbożem okryty. Cała jego znajomość rzeczy ograniczała się tylko na tém, iż wiedział że w lecie jest ciepło, a w zimie zimno, i znał zawsze ceny zboża na ostatnim targu. Lecz gdy podczas upału południowego, kiedy robotnicy odpoczywali, starzec wyszedł z swego gumna aby przywitać żniwiarzów, piękny natenczas sprawiał widok swym wysokim wzrostem i szerokiemi barkami, rysującemi się na widokręgu. Zdawało się, że zboże prościéj się trzymało i dumniéjsze było jak zazwyczaj, że lemiesz u pługa bardziéj był błyszczący. Wiejskie chłopaki, odpoczywający w cieniu i zajęci obiadem, na widok jego zdejmowali czapki z uszanowaniem, połykając za-

razem swe porządne kromy chleba i sera. Woły przeżuwały spokojnie, a konie rżały i podnosiły się pod ręką pana, który z zadowoleniem uderzał po ich wyniosłym grzbiecie. Nasz kraj jest szpichlerzem Francji, mawiał niekiedy starzec, potém pochyliwszy głowę szedł daléj, przypatrywał się bacznie swym równo wyoranym zagonem i gubił się w tém rozważaniu.

Pani Piédeleu, jego żona, obdarzyła go dziewięciorgiem dzieci; ośmiu było chłopców, a każdy z nich, jeżeli nie miał sześciu stóp wysokości, to przynajmniéj bardzo mało brakowało. Wzrost prawdziwie ojcowski, lecz i matka miała też swoje pięć stóp i pięć cali; ona była najpiękniejszą kobietą w całéj okolicy. Chłopcy silni jak bawoły, postrach i dziw całéj wioski, posłuszni byli ojcu jakby niewolnicy. Oni byli, że tak powiem, pierwszemi jego i najgorliwszemi sługami, zajmując się naprzemian zwózką, uprawą roli, lub też młocką w stodole. Prawdziwie przyjemny był to widok kiedy tych ośmiu chwatów, zawinąwszy rę-

kawy, i z grabiami w ręku, wzięło się do układania stogów, albo gdy w niedzielę, wziąwszy się pod ręce, szli na mszą do kościoła, a ich ojciec na czele; lub też nareszcie kiedy widziano ich wieczorem, po pracy, na około długiego stołu w kuchni, jak rozprawiali zajadając smaczno wieczerzę i uderzali w swe obszerne kubki blaszane.

Wpośród téj olbrzymiéj rodziny przyszła na świat mała istota, pełna zdrowia, lecz drobniuchna, było to dziewiąte dziécię pani Piédeleu, Małgorzata, którą zwykle nazywano Małgosią; głową dostawała zaledwie łokci swych braci, a kiedy ojciec chciał ją uściskać, podnosił ją zwykle z ziemi i stawiał na stole. Mała Małgosia nie miała jeszcze 16 lat skończonych, nosek cokolwiek zadarty usta wązkie, z ładnemi ząbkami i zawsze śmiejące się, cera pozłocona przez słońce, ręce pulchne i cała postać okrągła czyniły ją żyjącym obrazem wesołości, była też pociechą całej rodziny. Kiedy siedziała pomiędzy braćmi, błyszczała jak bławat wśród wieńca ży-

tniego. Na uczciwość, mawiał stary Piédeleu nie wiem jakim sposobem moja żona obdarzyć mię mogła takiém dzieckiem; to prawdziwie dar opatrzności; przez całe życie moje to źdźiebło pobudzać mię będzie do śmiéchu.

Małgosia kierowała gospodarstwem; chociaż matka Piédeleu była jeszcze dosyć żwawą, zdała jednak na nią to zatrudnienie aby ją zawczasu przyzwyczaić do porządku i oszczędności. Małgosia utrzymywała bieliznę i wino, miała dozór nad wszystkiemi naczyniami, które jednak nie raczyła myć własnemi rękami, nakrywała atoli sama do stołu, rozlewała zupę i śpiewała piosnki na wety. Służące nazywała ją zawszę panną Małgorzatą, gdyż i ona umiała sobie pewny ton nadać.

Nie będę utrzymywał iż nie była zalotną, gdyż była młodą, ładną i córką Ewy. Lecz niechby odważył się jaki chłopiec, chociażby najbogatszy z całéj okolicy, ścisnąć ją w pół zanadto mocno, niebardzoby dobrze wyszedł na tém; syn jednego dzierżawcy imie-

niem Jarry uściskał ją pewnego dnia w tańcu, dostał za to tęgi policzek.

Ksiądz proboszcz miał dla Małgosi wielki szacunek, kiedy chciał za przykład kogo przytoczyć, ją zawsze wybiérał. Uczynił jéj nawet pewnego dnia ten zaszczyt, iż podczas kazania wskazał ją za wzór swoim owieczkom. Małgosia umiała szyć a nawet haftować; jéj ojciec chciał aby nauczyła się czytać, pisać dobréj ortografji cokolwiek gramatyki i jeografji; mniszka z zakonu karmelitanek zajęła się jéj edukacją. A tak, Małgosia była wyrocznią całéj okolicy, kiedy otworzyła usta zdamiewali się wszyscy wieśniacy. W niedzielę, otaczano ją naokoło, kiedy tańczyła na murawie, gdyż ona miała także nauczyciela tańca, a jéj zgrabne skoki wszystkich w zachwycenie wprawiały. Krótko mówiąc, ona była zarazem kochaną i podziwianą, co nie jest rzeczą łatwą.

Czytelnik wie już, że Małgosia była córką chrzestną pani Doradour, i że to ona napisała do niéj na pięknym papiérze z winjetami, z

powinszowaniem nowego roku, List ten nie zawierający dziesięciu wierszy kosztował małą wieśniaczkę wiele namysłów i trudu, gdyż ona nie bardzo była mocną w sztuce pisania. Pani Doradour, która zawsze bardzo kochała Małgosię i uważała ją za najuczciwszą dziewczynę z całéj okolicy, postanowiła zażądać aby ją ojciec przysłał i jeżeli będzie można, uczynić z niéj swą pannę do towarzystwa.

Pewnego dnia wieczorem, stary Piedeleu zajęty był na podwórzu oglądaniem nowego koła, które dorobione zostało do jednego z wozów. Matka Piédeleu stała pod szopą i trzymała wielkiemi obcęgami za nos ponurego wieprza, ażeby się nie ruszał, kiedy go weterynarz opatrywał. Chłopcy czyścili konie, które powróciły z pastwiska. Bydło zaczęło powracać z pola; wspaniały szereg krów zmierzał do stodoły przy zachodzącém słońcu, a Małgosia siedziała na stogu koniczyny i czytała stary numer dziennika z czasów Cesarstwa, który pożyczyła od proboszcza.

Sam ksiądz proboszcz pokazał się w téj

chwili, przystąpił do poczciwego gospodarza i oddał mu list od pani Dorodoar. Piédeleu otworzył list z uszanowaniem, lecz zaledwo przeczytał kilka początkowych wierszy, przymuszony był usiąść na ławce, tak mocno został wzruszony i zadziwiony:

— Żądać ode mnie mojéj córki! zawołał, mojéj jedynéj córki! méj biédnéj Małgosi!

Na te słowa pani Piédeleu przybiegła przestraszona, chłopcy otoczyli swojego ojca, Małgosia tylko pozostała w oddaleniu nie śmiejąc ani się ruszyć z miejsca ani oddychać prawie. Po pierwszych wykrzyknikach cała rodzina pogrążyła się w ponurém milczeniu: Proboszcz natenczas mówić zaczął, i wyliczał wszystkie korzyści, jakie Małgosia znaleść mogła w przyjęciu przedstawienia swéj matki chrzestnéj. Przywodził że pani Doradour wyświadczyła ważne przysługi rodzinie Piédeleu, że była ich dobrodziejką i że potrzebując kogóś takiego coby jéj uprzejemnił życie, i miał staranie o niéj. i o jéj domu, udała się z zaufaniem do swych dzierżawców. Dodał także

iż ona bezwątpienia jak najlepiéj obchodziłaby się z swą córką chrzestną i zapewniła jéj los przyszły. Stary Piédeleu słuchał proboszcza nie mówiąc ani słowa, żądał potém kilku dni do namysłu, zanim przedsięweźmie stałe w tym przedmiocie postanowienie.

Zaledwie po upływie tygodnia, po długiém wachaniu się i po wielu płaczach, postanowiono, że Małgosia uda się w drogę do Paryża. Matka nie mogła się pocieszyć; mówiła że to wstyd jest aby ich córka była służącą, kiedy ona potrzebuje tylko wybrać jednego z najpiękniejszych chłopców z całéj okolicy, aby została bogatą dzierżawczynią. Synowie Piédeleu, pierwszy raz w swojém życiu, nie mogli się żadną miarą zgodzić: sprzeczali się przez cały dzień, jedni byli za przyjęciem, drudzy za odmówieniem; słowem, wielkie zmartwienie i nieporządek panował w całym domu.

Lecz stary Piédeleu przypomniał sobie, że

podczas jednego roku nieurodzajnego, pani Doradour, zamiast żądania od nich przynależnego czynszu, przysłała im worek z talarami; nakazał wszystkim milczenie i postanowił że jego córka pojedzie.

Skoro nadszedł dzień wyjazdu, zaprzężono konia do karjolki, aby odwieść Małgosię do Chartres, zkąd miała udać się w dalszą drogę dyliżansem. Dnia tego nikt w pole nie wyszedł; prawie cała wioska zgromadziła się na podwórzu ich folwarku. Przygotowano dla Małgosi zupełną wyprawę: cała karjolka obładowana była skrzynkami i pudłami, gdyż małżeństwo Piédeleu nie życzyło sobie aby ich córka źle się pokazała w Paryżu. Małgosia pożegnała się ze wszystkiemi, i miała już uściskać swego ojca, kiedy ksiądz proboszcz wziął ją za rękę, i przemówił do niéj po ojcowsku o podróży, która ją czekała, o dalszém jéj prowadzeniu się, i o niebezpieczeństwach na jakie narażona będzie.

— Zachowaj twoję mądrość, młoda dziewczyno, rzekł szanowny kapłan kończąc swą prze-

mowę; to najdroższy ze wszystkich darów; czuwaj nad nim, i miéj nadzieję w Bogu.

Stary Piédeleu był aż do łez wzruszony, chociaż nie zupełnie wszystko dobrze zrozumiał z mowy księdza proboszcza. Przycisnął swą córkę do serca, i wypuścił z swego objęcia, powrócił znowu do niéj i jeszcze raz uściskał; chciał mówić, lecz mocne wzruszenie było mu na przeszkodzie.

— Zachowaj w pamięci rady księdza proboszcza, rzekł nakoniec głosem zmienionym, zachowaj je dobrze, moje biédne dziécię... Potém dodał nagle: Do miljon fajek djabelskich... nie zapominaj o nich!.

Proboszcz, który wyciągnął ręce aby pobłogosławić Małgosię, zatrzymał się raptem na te grube wyrazy. Starzec zaklął chcąc przezwyciężyć swoje wzruszenie; odwrócił się i wszedł do folwarku nie mówiąc ani słowa. Małgosia wdrapała się na karjolkę, i koń już ruszył, gdy usłyszano tak mocne łkania, iż wszyscy się obrócili w jednę

stronę. Postrzeżono natenczas małego chłopca, prawie czternastoletniego, na którego pierwéj wcale nie uważano. Nazywał się on Piotruś, a zatrudnienie jego nie bardzo było szlachetne, gdyż był stróżem jędyków; lecz on kochał namiętnie Małgosię, nie uczuciem miłości, lecz prawdziwéj przyjaźni. Małgosia kochała także tego biédnego djabełka; nie raz przydała mu do jego suchego chleba garść wiśni, lub grono winne. Ponieważ był pojętny, lubiła z nim rozmawiać i udzielała mu swych szczupłych wiadomości, a ponieważ oboje byli prawie równego wieku, zdarzało się nieraz, że po skończonéj nauce. nauczyciel i uczeń grali wspólnie *w schowanego.* W téj chwili Piotruś miałna nogach parę *sabotów*, które mu dała Małgosia, litując się nad nim, iż chodził boso. Stał w końcu podwórza, otoczony swą skromną trzodą, spoglądał na swe *saboty* i płakał rzewnemi łzami. Małgosia dała mu znak aby się przybliżył i wyciągnęła ku niemu rękę, którą on uchwycił i po-

niósl do swéj twarzy, jak gdyby chciał pocałować, lecz przyłożył tylko do oczu. Małgosia odjęła rękę zroszoną łzami, pożegnała jeszcze raz swą matkę, i karjolka ruszyła w drogę.

III.

III.

Skoro Małgosia wsiadła do dyliżansu, w Chartres, myśl ta że ma zrobić 20 mil drogi i że ma widzieć Paryż, tak dalece zajęła jéj głowę iż zapomniała o jedzeniu i piciu. Jakkolwiek bolesném było dla niéj opuszczenie swéj rodzinnéj wioski, nie mogła jednak oprzeć się cieka-

wości, a ponieważ nie raz słyszała mówiących o Paryżu, jakby o jakim cudzie, zaledwo wierzyć chciała iż ma rzeczywiście oglądać na swe własne oczy to piękne miasto. Pomiędzy towarzyszami jéj podróży znajdował się pewien komisant handlowy, który wiele rozprawiał jak to zwykle czynią w podróży ludzie jego stanu. Małgosia słuchała jego powieści z religijną uwagą. Z kilku pytań, które zadać ośmieliła się, poznał jak dalece była nieznającą rzeczy, i nabrawszy otuchy, skreślił obraz stolicy tak przesadzony i nadęty, iż słuchając go nie możnaby wiedzieć, czy on chciał mówić o Paryżu, czy o Pekinie. Małgosia nie mogła czynić mu zarzutów, on zaś nie był tego rodzaju człowiekiem, żeby go myśl ta zatrzymać miała że skoro ona stanie tylko na miejscu, przekona się zaraz o jego kłamstwie. I to téż jest najpiękniejszą zaletą wyćwiczonych już kłamców, któréj dosyć wydziwić się nie można.

Pojazdy przybywające z Chartres wjeżdżają do Paryża przez pola Elizejskie. Można sobie wyobrazić zachwycenie małéj wieśniaczki na widok

tego wspaniałego wjazdu, który nie ma równego sobie na całéj kuli ziemskiéj. Spokojne i wązkie ulice okręgu Marais, wydały się potém Małgosi dość smutnemi, lecz kiedy fjakier zatrzymał się przed drzwiami mieszkania pani Doradour, piękna powierzchowność tego domu w zachwycenie ją wprawiła. Podniosła młotek drżącą ręką i zasztukała z bojaźnią i ukontentowaniem zarazem. Pani Doradour czekała na swą córkę chrzestną; przyjęła ją z otwartemi rękami, obsypywała pieszczotami, nazywała swą córką, i posadziwszy na berżerce, kazała jéj przynieść wieczerzą.

Małgosia przypatrywała się obiciom, sztukaterjom, złoconym meblom, a nadewszystko pięknym zwierciadłom, które zdobiły salon. Przyzwyczajona do ubiérania się w lustrze do golenia swoiego ojca, gdy ujrzała swój obraz odbity tyle razy i w tak różny sposób naokoło siebie, widok ten zdawał się jéj być czarownym i zachwycającym. Ton mówienia matki chrzestnéj gładki i delikatny, jéj wyrażenia przyzwoite i szlachetne, mocne na niéj spra-

wiły wrażenie. Ubiór nawet szanownéj damy, jéj obszerna, jedwabna suknia w kwiaty, duży czépek i włosy pudrowane dawały wiele Małgosi do myślenia, i wrażały w nią przekonanie iż znajdowała się w obliczu szczególnéj osoby. Ponieważ ona była umysłu pojętnego i giętkiego i posiadała skłonność do naśladowania, wrodzoną wszystkim dzieciom, zaraz też, po godzinnéj rozmowie z panią Doradour, usiłowała na wzór jéj się kształcić. Wyprostowała się, poprawiła czépek i przywołała na pomoc wszystkie swe wiadomości gramatyczne. Na nieszczęście, odrobina mocnego wina czystego, które dała jéj matka chrzestna dla orzeźwienia się po trudach podróży, powikłała jéj myśli. Jéj powieki zaczęły się kleić; pani Doradour wzięła ją za rękę, zaprowadziła do pięknego pokoju, poczém uściskawszy jeszcze raz, życzyła dobréj nocy i oddaliła się.

Prawie w tym samym czasie zasztukano do drzwi; pokojówka weszła, zdjęła Małgosi szal i czépek, i uklękła dla ściągnięcia obuwia

Małgosia spała stojąc i nie wiedziała wcale co się działo. Dopiéro kiedy zdjęto z niéj koszulę, spostrzegła się że ją rozbiérano, i niezważając iż była zupełnie nago, oddała etykietalny ukłon swéj pokojówce; odmówiła potém wieczorną modlitwę, i położyła się spiesznie w łóżko. Przy świetle lampy nocnéj spostrzegła że i jéj pokój zawiérał meble złocone, że w nim znajdowało się także wspaniałe źwierciadło, które jéj tak przypadło do smaku. Dwóch małych amorków, snycerskiéj roboty, znajdujących się przed zwierciadłem uważała za dobrych jeńjuszów, i zdawało jéj się, że oni wabią ją do p eglądania się w tém źwierciedle. Przyrzekła sobie korzystać z tego i wśród słodkich marzeń usnęła rozkosznie.

Na wsi wstają bardzo rano, nasza mała wieśniaczka obudziła się nazajutrz zarówno z ptakami. Usiadła na łóżku, i gdy spostrzegła w ukochaném źwierciedle swą ładną minkę rozespaną, wdzięczny uśmiéch ożywił jéj usta. Pokojówka wkrótce pokazała się i zapytała, czy panna będzie się kąpać. Włożyła zaraz na jéj

ramionna suknią z flaneli szkarłatnéj, która zdawała się Małgosi purpurą królewską.

Sala do kąpieli pani Doradour była zaciszem więcéj światowém, niżeli się tego po niéj spodziéwać można było. Zbudowana była za czasów Ludwika XV. Wanna umieszczona na wzniesieniu stała w środku koła gipsowego, ozdobionego złotemi różami, a w górze, przy suficie, mnóstwo było niezbędnych amorków. Na przeciwnéj ścianie znajdowała się kopja kąpieli Bouchera, uczyniona przez samego może Bouchera; wieńce z kwiatów zdobiły wszystkie gzymsy, miękki kobierzec przykrywał posadzkę, a jedwabna firanka, zręcznie w fałdy ułożona, przepuszczała przez żaluzja łagodne światło do sali. To się rozumi samo z siebie, że cały ten przepych był cokolwiek spłowiały, skutkiem działania czasu, że złocenia były wytarte; lecz to właśnie przydawało wdzięków temu miejscu, gdyż można było czuć tam jakby ostatki wonności z tych sześćdziesięciu lat szaleństwa, kiedy panował óm król ukochany

Małgosia, będąc sama w téj sali, przybliżyła się z bojaźnią do wzniesienia. Przypatrywała się zpoczątku złoconym gryfom, zdobjącym wannę po obu stronach i nie ośmieliła się wéjść do wody, która zdawała jéj się być przynajmniéj wodą różaną; wsunęła powoli jednę nóżkę, nasiąpnie drugą, i stanęła, wpatrując się w obraz, na przeciwnéj scianie będący. Ona nie znała się na malarstwie; kąpiące się dziewice Bouchera zdawały jéj się boginiami; nie przypuszczała aby podobne kobiéty mogły istnieć na świecie, ażeby mogły brać pokarm tak białemi rękóma, lub też chodzić tak małemi nóżkami; cożby ona dała za to, żeby mogła być tak piękną! Ona nie spodziéwała się że ze swemi opalonemi rękami była tysiąc razy piękniejszą jak te lalki. Lekki szelest firanki wyprowadził ją z tego zamyślenia; zadrżała na myśl tę iż może ją kto spostrzedz, i zanurzyła się w wodę aż po szyję. Wkrótce doznała uczucia miękkosci i roskoszy i zaczęła igrać z wodą, jak to czynią dzieci, końcem prześciéradła; potém bawiła się liczeniem kwiatów i

innych ozdób pokoju, potém przyglądała się małym amorkom, lecz ich grube brzuchy nie podobały jéj się wcale, wreszcie wsparła głowę na krawędzi wanny i spoglądała przez nawpół otwarte okno. Sala do kąpieli znajdowała się na dole, i okno wychodziło na ogród.

Nie był to ogród angielski, jak może sądzicie, lecz starożytny ogród na sposób francuzki, daleko więcéj wart niżeli tamten. Ładne ulice wysypane piaskiem, obsadzone bukszpanem, obszerne kwatery błyszczące dobranemi kolorami, gdzie niegdzie piękne posągi, a w głębi labirynt z grabiny. Małgosia przypatrywała się temu labiryntowi, którego ciemne wejście pobudziło ją do marzeń. Gra w *schowanego* przyszła jéj na pamięć, i sądziła że w manowcach grabiny dobre znajdować się musiały kryjówki.

W téj chwili piękny, młody mężczyzna, w mundurze huzarskim wyszedł z labiryntu i zmierzał ku domowi. Minąwszy kwatery przeszedł tak blisko okna sali do kąpania,

że trącił łokciem o żaluzją. Małgosia wydała lekki krzyk z przestrachu; młodzieniec zatrzymał się, — otworzył żaluzją i włożył gł›wę; spostrzegł Małgosię w kąpieli, i chociaż huzar, zapłonił się. Małgosia zapłoniła się także, i młodzieniec oddalił się.

III.

Jedna rzecz na świecie jest bardzo przykrą dla wszystkich, a szczególniéj dla młodych dziewcząt, to jest że mądrość jest pracą, i że chcąc po.. kazać się tylko rostropnym, trzeba zadać sobie wiele przykrości, gdy tymczasem aby głupstwo zrobić, dosyć jest o nic nie dbać. Ho-

mer powiada, że Sizyf był najmędrszym z ludzi, jednakże poeci skazują go jednogłośnie na taczanie wielkiego kamienia na wierzchołek góry, zkąd on spada natychmiast na tego biédnego człowieka, który znowu go toczyć zaczyna. Wielu siliło się chcąc odkryć przyczynę téj kary, co do mnie, nie wątpię wcale, że starożytni pod tą piękną postacią chcieli przedstawić mądrość. Mądrość jest rzeczywiście kamieniem, który my ciągle taczamy, a on spada nam bez przestanku na głowę. Od tego dnia, w którym on się nam wymknie, nie mają ludzie wcale względu żeśmy go przez wiele lat taczali, gdy tymczasem jeżeli głupiec zrobi przypadkiem jaki czyn rozsądny, chwalą go bez końca. Głupstwo nie jest wcale kamieniem; jest to bańka z mydła mieniąca się wszystkiemi kolorami tęczy. Zdarza się wprawdzie że bańka pęknie i spadnie nam w oczy kilka kropel wody; lecz wkrótce będzie nowa, i aby ją utrzymać w powietrzu, dosyć jest dmuchnąć niekiedy.

Przez te uwagi filozoficzne chcę okazać, że

nie ma w tém nic dziwnego iż Małgosia zakochała się cokolwiek w młodym chłopcu, którego spostrzegła w kąpieli, i że z tego powodu nie powinniście mieć o niéj wcale złego wyobrażenia. Kiedy miłość zacznie mięszać się do spraw naszych, nie potrzeba jéj pomagać, bo jak wiemy, nie dość jest zamknąć drzwi aby jéj zabronić wejścia; ona weszła oknem w obecnym przypadku, a to w następujący sposób. Tym młodym chłopcem nie kto inny był jak Gaston, syn pani Doradour, który uwolniwszy się, nie bez trudu, od miłostek garnizonu, przybył do swéj matki. Wolą było przeznaczenia iż pokój, w którym mieszkała Małgosia, znajdował się w jedném skrzydle domu, a pokój młodzieńca w przeciwném, to jest, że ich okna były jedno naprzeciwko drugiego, a zarazem bardzo zbliżone. Małgosia obiadowała razem z panią Doradour i bawiła u niéj aż do wieczerzy, lecz od siódméj rano aż do południa zostawała w swoim pokoju. Gaston przepędzał te same godziny prawie zawsze u siebie, a Małgosia nie

miała co lepszego do czynienia, jak siedzic przy oknie z robotą w ręku i spoglądać na s wego sąsiada.

Sąsiedztwo było od niepamiętnych czasów przyczyną wielkich nieszczęść; nie ma nic bardziéj niebezpiecznego jak ładna sąsiadka, a chociażby brzydką była, nie ufałbym sobie, gdyż przez ciągłe wpatrywanie się, przyszło by na to wcześniéj lub późniéj, iżbym ją za piękną uważał. Gaston miał małe, okrągłe źwierciadło, wiszące przy oknie, według zwyczaju młodzieży. Przed tém zwierciadłem zwykle się golił, czesał i wiązał chustkę. Małgosia spostrzegła iż on miał piękne, jasne włosy, które zawijały się z natury; to było przyczyną iż kupiła zaraz flaszeczkę olejku fijołkowego, , starała się aby dwa pukle czarnych włosów i które wychodziły jéj z pod czépka, były zawsze gładkie i świecące się. Spostrzegła potém że Gaston miał piękne chustki, które zmieniał bardzo często; kupiła zaraz tuzin najpiękniejszych, jakie dostać można było w całym okręgu Marais. Gaston miał oprócz tego, ten

zwyczaj, który tak obruszał filozofa genewskiego, iż obrzynał paznokcie umyślnie do tego sporządzoném narzędziem. Małgosia nie była tak wielkim filozofem jak Rousseau i nie gniewała się o to wcale, lecz kupiła sobie sam szczoteczkę i nosiła czarne mitenki dla przykrycia rąk, które były, jakto powiedziałem, cokolwiek czerwone. Gaston miał wiele innych jeszcze pięknych rzeczy, które Małgosia nie mogła naśladować; naprzykład, pantalony różowe i szpencer niebieski z czarnemi galonami. Miała wprawdzie Małgosia szlafrok ze szkarłatnéj flanelli, lecz cóż powiedziéć na szpencer niebieski? I temu zaradzić potrafiła, gdyż pod pozorem, że ją uszy bolą, zrobiła sobie mały beret z niebieskiego aksamitu. Nareszcie, kiedy Gaston pewnego dnia powiedział przy śniadaniu iż bardzo lubi dobry omlet, Małgosia przezwyciężyła swą bojaźliwość i odważyła się na czyn heroiczny; oświadczyła że nikt lepszego omletu zrobić nie potrafi jak ona, że u rodziców co dzień go robiła, i prosiła swéj matki chrzestnéj aby kiedy mogła sama przyrządzić tę potrawę.

W ten sposób usiłowała biédna dziewczyna okazać swą skromną miłość, lecz Gaston wcale na to nie zwracał uwagi. Jakżeby młodzieniec śmiały, dumny, przyzwyczajony do hucznych zabaw i życia obozowego, miał zważać na te dziecinne zabiegi? Gryzetki sztrasburskie inaczéj biorą się do rzeczy, kiedy im coś podobnego przyjdzie do głowy. Gaston obiadował wraz z matką, potém wychodził z domu na cały wieczór, a ponieważ Małgosia nie mogła usnąć póki on nie powrócił, oczekiwała na niego za swemi firankami. Trafiło się nie raz że młodzieniec widząc światło w jéj pokoju mówił do siebie, przechodząc przez podwórze: „dla czego ta mała nie śpi jeszcze? I gdy pewnego dnia ubierając się rzucił na nią ulotne spojrzenie, które przeniknęło Małgosię aż do głębi duszy; ona odwróciła głowę natychmiast, gdyż pierwéj by umarła, niżeli potrafiła znieść to spojrzenie. W salonie była jednak zupełnie inną; siedząc przy matce chrzestnéj okazywała się poważną, spokojną, i słuchała z wszelką przyzwoitością szczebiotania pani

Doradour. Kiedy Gaston mówił do niéj, odpowiadała mu, jak mogła najlepiéj; lecz to jest rzecz osobliwa, iż odpowiadała mu bez żadnego wzruszenia. Niechże teraz wytłumaczy kto chce, co się dzieje w piętnastoletniéj głowie; miłość Małgosi była, że tak powiem, zamknięta w jéj pokoju, skoro weszła do niego, znajdowała ją natychmiast, wychodząc zostawiała ją w pokoju, lecz brała z sobą zawsze klucz ode drzwi, aby nikt w jéj nieobecności, nie skaził jéj małego przybytku.

Łatwo téż domyśléć się że obecność pani Doradour czyniła ją ostrożniejszą i skłaniała do rozwagi, gdyż obecność ta przypominała jéj ciągle tę wielką przestrzeń, jaka rozdzielała ją Gastona. Inna, na jéj miejscu, znając niebezpieczeństwo swéj namiętności, wpadłaby w rozpacz, albo przynajmniéj wyleczyłaby się; lecz Małgosia nie spytała się nigdy, nawet w głębi duszy swojéj, jaki skutek odniesie jéj miłość, w istocie, nie ma bardziéj niedorzecznego pytania nad to, jakie zadają nieustannie zakocha-

nym: Do czego to cię doprowadzi? — Ech! moi kochani, to mię prowadzi do kochania.

Jak tylko obudziła się Małgosia, wybiegała natychmiast z łóżka, boso, w czépeczku nocnym, odsłaniała róg firanki, aby zobaczyć, czy Gaston otworzył swe żaluzję. Jeżeli żaluzje były zamknięte, kładła się znowu spiesznie do łóżka, i czatowała chwili, w któréj usłyszy znany jéj dobrze, szelest otwiérających się zazdrostek. Natenczas brała pantofle i szlafroczek, odmykała u siebie okno i wyglądała w jednę i drugą stronę z minką zaspaną, jakby chciała przekonać się o pogodzie. Przymykała potém jednę połowę okna, w ten sposób, aby tylko Gaston mógł ją widzieć, stawiała źwierciadło na małym stoliku, i zaczynała czesać swe piękne włosy. Nie wiedziała ona że prawdziwa zalotnica pokazuje się, kiedy jest ubraną, lecz nie daje się widzieć, kiedy się ubiéra; ponieważ Gaston czesał się przed nią, ona też czesała się przed nim. Zakryta źwierciadłem ośmielała się niekiedy rzucić na

niego bojaźliwe spojrzenie, lecz zawsze gotowa spuścić na dół oczy, gdyby na nią Gaston spojrzał. Skoro włosy jéj były uczesane, kładła na głowę mały czépeczek tiulowy, wiejskiego kroju, jaki ciągle nosiła, ten mały czépeczek był zawsze biały, równie jak i wielki kołniérz wykładany, co nadawało jéj niejako postać mniszki. Wkrótce nadchodziła panna Pelagja, pokojówka, z kawą na tacy, w towarzystwie kota domowego, tego niezbędnego sprzętu w okręgu Marais, który co dzień pamiętał złożyć swoje uszanowanie Małgosi. Miał on pozwolenie wygodnego rozciągania się na berżerce naprzeciwko niéj i podzielał z nią jéj śniadanie.

Wszystko to były u niéj, jak wiecie, zalotne przebiegi. Kot stary i rozpieszczony taczał się jak kula po berżerce i przyjmował poważnie pocałowania, które może nie dla niego przeznaczone były.

Małgosia drażniła go, brała na kolana, rzucała na łóżko, i już to pieściła się z nim, już pobudzała go do gniewu; od dziesięciu

lat jak zostawał w tym domu, nigdy mu tak nie dogadzano, i chociaż nie zupełnie ze wszystkiego był zadowolony, znosił jednak niektóre przykrości cierpliwie, gdyż on miał z gruntu dobry charakter i wielkim był przyjacielem Małgosi. Po wypiciu kawy, wyglądała znowu na chwilę, czy pogoda na dworze, i przymykała potém otwartą połowę okna, lecz nie zamykała jéj zupełnie.

Dobry myśliwy poznałby, iż to właśnie był czas do zastawienia sideł. Małgosia kończyła swoje ubranie, i może myślicie że się pokazała? —wcale nie; ona umiérała z pragnienia żeby się mogła pokazać i z bojaźni żeby ją nie zobaczono. Czyliż więc Małgosia była dziewczyną rozsądną? W istocie, ona była rozsądną, uczciwą i niewinną. I cóż więc ona robiła? — Ona się ubiérała, wkładała spódniczkę i suknią, i niekiedy widzieć można było przez szparę, jak wyciągała rękę po szpilkę leżącą na stoliku. Cóżby też ona zrobiła gdyby ją podglądano? — Zamknęłaby natychmiast okno. Dla czegóż więc zostawiła

go na wpół otwarte? — O to się jéj spytajcie, gdyż ja tego nie wiem.

Rzeczy tak się miały, gdy pewnego dnia pani Doradour i jéj syn mieli długą rozmowę sam na sam. Cós tajemniczego było pomiędzy niemi i mówili do siebie często słowa niezrozumiałe dla Małgosi. Wkrótce potém pani Doradour rzekła do niéj:

— Moje kochane dziécie, wkrótce zobaczysz twą matkę, przepędziemy jesień w Honville.

V.

Pomieszkanie w Honville odległe było o milę od Chartres, a o ćwierć mili prawie od folwarku, w którym mieszkali rodzice Małgosi. Nie byłto zupełnie pałac, lecz piękny dom z obszernym parkiem. Pani Doradour rzadko tam przebywała i od wielu lat widziano w nim tyl-

ko rządcę. Tak nagły wyjazd, tajemne rozmowy między młodzieńcem i jego podeszłą matką zdziwiły Małgosię i nabawiły ją niespokojnością.

We dwa dni po przybyciu pani Doradour, kiedy jeszcze wszystkie pudełka nie były wypakowane, ujrzano dziesięciu olbrzymów postępujących w dobrym porządku po równinie; była to rodzina Piédeleu, która szła do dworu, złożyć swoje uszanowanie; matka niosła kosz z owocami, każdy z synów trzymał doniczkę z lewkonją, a ojciec dumnie stąpał mając w kieszeniach dwa niezmierne melony, które sam wybrał w swoim ogrodzie i osądził za najlepsze. Pani Doradour przyjęła te dary ze zwykłą dobrocią, i ponieważ ona przewidziała odwiedziny swych dzierżawców, wyjęła natychmiast z szuflady ośm kamizelek jedwabnych, w kwiaty, dla chłopców, koronki dla matki Piédeleu a dla starego Piédeleu piękny kapelusz pilśniowy, z szerokiemi skrzydłami i złotą sprzączką. Po przyjęciu wzajemnych podarunków, Małgosia jaśniejąca zdrowiem i wesołością pokazała się swéj rodzinie; kiedy uściskała wszystkich wokoło, matk

chrzestna zaczęła wychwalać jéj słodycz, jéj roztropność, jéj dowcip, a policzki młodéj dziewczyny, i tak zaczerwienione od całusów serdecznych jakie odebrała, zarumieniły się jeszcze mocniejszym szkarłatem; matka Piédeleu widząc ubiór Małgosi sądziła, iż ona musi być szczęśliwą, i jako dobra matka nie mogła wytrzymać, aby jéj nie powiedziała że ona jest ładną. — To prawda, na uczciwość. Rzekł stary Piédeleu. — To prawda, powtórzył głos, który przeniknął aż do głębi serca Małgosi; był to głos Gastona,na stronie stojącego. W téj chwili drzwi się otworzyły i ujrzano w przedpokoju małego strużа jędyków, Piotrusia,który takgorszko płakał przy odjeździe Małgosi. On szedł za swojém państwem, w pewnéj odległości, i nie śmiejąc wejść do salonu, oddał z daleka bojaźliwy ukłon. — Co to jest za chłopiec? spytała pani Doradour. Przybliż się malcze, powiédz nam dzień dobry. Piotruś ukłonił się znowu,lecz nic nie mogło go skłonić ażeby weszedł; zaczerwienił się jak ogień i umknął cożywo.

Pan mię więc w istoeie znajdujesz ładną? powtórzyła Małgosia pocichu przechodząc się samotnie po parku, kiedy jéj ródzina oddaliła się. Lecz co to za śmieli są ci chłopcy, żeby podobne rzeczy mówić przed całym światem! Kiedy ja nie śmiem spojrzeć na niego, jakim się to dzieje sposobem że on może mówić do mnie głośno takie rzeczy, które ja nie mogę słuchać bez zapłonienia się? On musi być bardzo do tego przyzwyczajony, albo też za nic to sobie uważa; a jednak powiedzieć pannie że ona jest ładną, to jest bardzo wiele, to podobne jest cokolwiek do oświadczenia miłośnego.

Na tę myśl, zatrzymała się Małgosia i spytała saméj siebie, co to rzeczywiście znaczy oświadczenie miłośne. Często słyszała ona że o niém mówiono, lecz nigdy sama dobrze się nad tém nie zastanawiała. Jak to się mówi, że się kocha? pytała się, i nie mogła sobie wyobrazić że to tylko w tych wyrazach: ja cię kocham. Jéj się zdawało że to powinno być wcale cóś innego, że do tego potrzeba jakiejś

ajemnicy pełnéj wdzięków i niebezpieczeństw, i osobnego zupełnie wysłowienia. Ona jeden tylko w życiu swojém, czytała romans, nie wiem jaki był jego tytuł; znalazła go w szpichlerzu swojego ojca. Była w nim mowa o pewnym rozbójniku sycylyjskim, który wykradł młodą panienkę, i kilka znajdowało się takich zdań, które Małgosia nie rozumiała i sądziła być oświadczeniami miłości; lecz ksiądz proboszcz mawiał że wszystkie romanse to są głupstwa, a ona pałała chęcią dowiedzenia się samej prawdy; lecz kogóż ośmielić się mogła o nią zapytać?

Pokój Gastona w Honville nie znajdował się tak blizko jak w Paryżu. Nie było już ani tajemnych spojrzeń, ani szelestu zazdrostek. Codziennie, o piątéj godzinie rano, dzwonek słabo się odzywał. Strzelec w ten sposób budził Gastona, gdyż dzwonek znajdował się tuż przy jego oknie. Młodzieniec wstawał i wyjeżdżał na polowanie. Małgosia ukryta za firanką widziała go, jak otoczony psami, ze strzelbą w ręku, siadał na konia i ginął

wkrótce we mgle wiszącéj nad polami. Scigała go oczami z takiém wzruszeniem, jakby jaka uwięziona dziewica, z czasów rycerstwa, któréj kochanek odjeżdżał do Palestyny. Zdarzało się niekiedy, że Gaston nie kazał pierwszych wrot otwiérać, lecz przesadzał je na koniu. Małgosia widząc to, wydawawała westchnienia niezrozumiałe, słodkie i okrutne zarazem. Wyobrażała sobie że na polowaniu na wielkie narażać się trzeba niebezpieczeństwa. Kiedy Gaston powracał wieczorem, okryty kurzem, ona przypatrywała mu się, od stóp do głów, dla przekonania się czy nie był ranionym, jakby z jakiéj walki powracał; lecz gdy ujrzała iż wyciągał z swéj torby myśliwskiéj zająca, albo parę kuropatw i kładł je na stole, zdawało jéj się iż widzi przed sobą zwycięzcę obciążonego łupami nieprzyjaciela. To czego się obawiała, przytrafiło się dnia jednego; Gaston przeskakując płot spadł z konia i otrzymał lekkie zadraśnięcie, iluż boleśnych wzruszeń to małe wydarzenie było przyczyną! Zwykła roztropność Małgosi prawie ją zupeł-

nie opuściła; z początku oniemał nie zemdlała. Widziano ją jak załamywała ręce i modliła się pocichu; cóżby ona dała za to, aby jéj wolno było otrzeć krew płynącą z ręki młodzieńca! Włożyła do swéj kieszeni najpiękniejszą chaftowaną chustkę jaką miała, i oczekiwała sposobności żeby mogła podać ją Gastonowi, aby chociaż na chwilę obwiązał nią swą rękę; lecz nie miała nawet téj pociechy. Okrutny chłopiec, kiedy podczas wieczerzy kilka kropel krwi pokazało się z jego rany, nie przyjął chustki od Małgosi i obwiązał rękę serwetą. Małgosia wzięła to tak do serca, iż oczy jéj napełniły się łzami.

Nie mogła ona jednak przypuścić, żeby Gaston pogardzał jéj miłością, on tylko o niéj nie wiedział; jakże temu zaradzić? Małgosia czasem znosiła spokojnie swe położenie, a czasem niecierpliwiła się. Najobojętniejsze wydarzenia stawały się dla niéj naprzemian przyczyną radości albo zmartwienia. Jedno słowo uprzejme, jedno spojrzenie Gastona uszczęśliwiało ją na cały dzień; jeżeli zaś

przeszedł przez salon nie zważając na nią, jeżeli wieczorem oddalił się nie pożegnawszy ją lekkim ukłonem, jak to miał zwyczaj czynić, przez całą noc przemyśliwała, czém ona mogła mu się nie podobać.

Małgosia w swém nowém położeniu zachowała dawniéjsze upodobania; kiedy Gaston był na polowaniu, przepędzała czasem całe rano w ogrodzie, i szczególniéj lubiła jeden szpaler samemi brzoskwiniowemi drzewami wysadzany. Pewnego dnia, podczas zachodu słońca, Gaston powracając z polowania, przechodził przez ogród; mocne czując pragnienie wyciągnął rękę, i przypadek zrządził, że zerwał brzoskwinię z tego samego drzewa, które Małgosia jak najtroskliwiéj pielęgnowała i nikomu z niego zrywać nie pozwalała. Ona znajdowała się o kilka kroków ztamtąd, zajęta polewaniem kwiatów; przybiegła natychmiast, lecz młodzieniec nie zważając na nią poszedł daléj i ukąsiwszy raz i drugi, rzucił owoc na ziemię i wszedł do domu. Raptowne oddalenie się Gustawa, oboję

tność z jaką rzucił brzo'kwinię, sprawiły na małéj dziewczynie skutek bziwny i niespodziewany. Zasmuciła się i zaazem ucieszyła, gdyż mniemała że Gastonowi mocne pragnienie dokuczać musiało, i że ten owoc sprawił mu zapewne przyjemność.

Podniosła broskwinię, odmuchnęła z kurzu, i obejrzawszy się czy kto nie patrzy, złożyła na niéj ukradkowe pocałowanie, a potém ukąsiła cokolwiek dla skosztowania. Nie wiem jaka myśl szczególna przebiegła jéj po głowie; mówiąc o owocu, a może i o sobie, rzekła: Nie dobry chłopiec, jak on marnuje, nie wiedząc nawet o tém!

Czytelnik raczy przebaczyć że mu opowiadam takie dziecińetwa, lecz jakże mam mu co innego opowiadać, kiedy moja bohaterka jest dzieckiem.

Dwa niespodziewane wypadki, z których jeden był ważnym a drugi śmiesznym, wydarzyły się w tym samym czasie. Kiedy Gaston pewnego poranku probował nowo kupionego konia w ulicy prowadzącéj do dworu

jakiś mały chłopiec okryty łachmanami, przybliżył się śmiało do niego i stanął przed koniem; był to Piotruś, stróż jędyków. Gustaw nie poznał go, sądząc że prosi o jałmużnę, rzucił mu kilka groszy w czapkę. Piotruś schował pieniądze do kieszeni, lecz nie oddalił się; pobiegł za jeźdźcem i stanął znowu przed nim, o kilka kroków daléj. Gaston zawołał na niego raz i drugi aby ustąpił się z drogi.

— Czego ty chcesz ode mnie mały łotrze? spytał go nareszcie, czy chcesz koniecznie abym cię rozjechał?

— Panie, odpowiedział Piotruś nie ruszając się z miejsca, chciał bym zostać pańskim służącym.

— Czyim?

— A pańskim służącym.

— Moim? Skądże ci przyszło do głowy podobne żądanie?

— Bo ja chciałbym zostać pańskim służącym.

— Lecz ja nie potrzebuję służącego; kto ci o tém powiedział że ja go potrzebuję.

— Nikt panie.

— No i cóż więc chcesz?

— Chciałbym zostać pańskim służącym.

— Czy ty oszalałeś, czy żartujesz sobie ze mnie?

— Nie, panie.

— Idźże sobie i daj mi pokój.

Gaston rzucił mu jeszcze kilka sztuk drobnéj monety, skręcił na bok i pojechał. Piotruś usiadł przy drodze, i Małgosia przechodząc tamtędy w kilka chwil potém ujrzała go płaczącego rzewnemi łzami. Przybiegła do niego natychmiast. Co tobie jest mój biédny Piotrusiu? co ci się przytrafiło?

Piotruś wzbraniał się odpowiedzieć z początku. — Chciałem być służącym pana Gastona, rzekł nakoniec szlochając, lecz pan Gaston nie chce.

Zaledwie z trudnością potrafiła Małgosia wymódz na nim, iż się zupełnie wytłumaczył. Zrozumiała natenczas o co rzecz chodzi; od

czasu jak opuściła folwark rodziców, Piotruś nudził się nie widząc jéj. Napół ze wstydem, napół płacząc, opowiedział jéj swoje zmartwienie, a ona słuchając go nie mogła wstrzymać się od śmiechu, litując się nad nim zarazem. Biédny chłopiec, chcąc wyrazić swoją boleść, mówił zarazem o swojéj przyjaźni dla Małgosi, o swych zchodzonych sabotach, o smutnéj samotności pól. i o jednym z jędyków, który skończył życie; wszystko to mięszało się w jego głowie. Kiedy nie mógł znieść już smutku jaki go opanował, postanowił udać się do Honville, aby ofiarować swoje usługi Gastonowi. Postanowienie to kosztowało go ośm dni namysłu, i jak to widzielismy, nic wielkiego skutek odniosło. Ponieważ pan Gaston mię nie chce, rzekł kończąc swe opowiadanie, i ponieważ nie mogę być przy nim, tak jak panna Małgorzata jest przy pani Doradour, zamorzę się głodem. Łatwo się domyśleć że tym ostatnim słowom towarzyszył nowy potok łez.

Małgosia pocieszała go jak mogła, wzięła go

za rękę i poprowadziła do domu. Tam, zanim miał zamorzyć się głodem, kazała mu wejść pierwéj do izby kuchennéj i dała mu chleba z szynką i owoców. Piotruś zalany łzami zajadał smaczno, wlepiwszy oczy w Małgosię. Łatwo go przekonała, iż aby wejść w służbę czyją, trzeba oczekiwać wolnego miejsca i przyrzekła mu, że przy pierwszéj sposobności, zajmie się jego prośbą. Podziękowała mu potém za jego przyjaźń, otarła łzy, pocałowała w czoło z minką macierzyńską i skłoniła go wreszcie aby powrócił do folwarku jéj rodziców; oprócz tego dała mu Małgosia talara, ażeby sobie kupił kamizelkę i nowe saboty. Tak pocieszony, wziął za rękę dziewczynkę, przyłożył do niéj swe usta, i rzekł głosem wzruszonym, do zobaczenia panno Małgorzato. Kiedy on oddalał się wolnym krokiem, Małgorzata uważała że chłopiec ten zaczynał już dobrze podrastać. Przypomniała sobie iż on tylko o jeden rok był młodszy od niéj, i postanowiła odtąd nie ściskać go tak pośpiesznie.

Nazajutrz, spostrzegła że Gaston nie udał się

jak zwyczajnie na polowanie i staranniejszy był w ubraniu niżeli kiedykolwiek. Po obiedzie, to jest około czwartéj godziny, młodzian podał rękę swéj matce, i oboje wyszli na gościniec wysadzany drzewami. Rozmawiali pocichu i znać było po nich niespokojne oczekiwanie; Małgosia pozostała sama w salonie i gdy wyglądała trwożliwie przez okno, pojazd pocztowy zajechał na podwórze. Gaston przybiegł natychmiast i otworzył drzwiczki; wysiadła z niego naprzód podeszła dama, a potém panna około 19 lat mająca, ubrana wytwornie i piękna jak słońce. Z przyjęcia jakiego doznały, Małgosia sądziła, że to nie tylko musiały być znakomite osoby lecz nawet krewne jéj matki chrzestnéj; dwa najpiękniejsze pokoje w całym domu przygotowane dla nich zostały. Skoro nowo przybyłe weszły do salonu, pani Doradour przywołała skinieniem Małgosię i powiedziała jéj pocichu aby się oddaliła; ta wyszła z boleścią w sercu i pobyt tych dwóch pań nie wiele przyjemnego zdawał się jéj obiecywać.

Następnego dnia wachała się jeszcze czy miała zejść na śniadanie, kiedy jéj matka chrzestna przyszła po nią i przedstawiła ją pani i pannię de Vercelles; tak się nazywały dwie nieznajome• Wchodząc do pokoju jadalnego spostrzegła że była serweta biała na jéj zwykłém miejscu, obok Gastona. Usiadła w milczeniu, lecz zasmucona gdzie indziéj; jéj miejsce zajęła panna de Vercelles, i łatwo było uważać że młodzieniec spoglądał z wielkiém upodobaniem na swoją sąsiadkę. Małgosia milczała przez cały czas śniadania; podawała wszystkim kolejno pułmisek, który stał przed nią, kiedy go przedstawiła Gastonowi, zdawał się nie uważać wcale na nią. Po śniadaniu przechadzano się po parku, pani Doradour wzięła pod rękę podeszłą damę, Gaston podał swoją młodéj pannie, a Małgosia szła sama za towarzystwem; nikt nie myślał o niéj, ani się do niéj odzywał. Wieczorem proszono pannę de Vercelles ażeby śpiewała; dała się długo prosić, nakoniec zanuciła głosem świéżym i lekkim dosyć wesołą piosnkę. Małgosia westchnęła

pomimowolnie wspomniawszy, że w domu ojca swego ona tylko śpiéwała po skończonéj wieczerzy. Skoro przyszedł czas udania się na spoczynek, spostrzegła wchodząc do swego pokoju, że wzięto dwa jéj ulubione sprzęty, berżerkę i stoliczek, na którym stawiała źwierciadło do ubierania. Odemknęła ze drżeniem okno aby spojrzeć na światło błyszczące zwykle za firankami Gastona; takie było co wieczór jéj ostatnie pożegnanie, lecz dnia tego nie było wcale światła. Gaston zamknął okiennicę; położyła się z boleścią w sercu i nie mogła spać przez całą noc.

Jakiż powód sprowadził te dwie nieznajome, i jak długo będzie trwał ich pobyt? Otóż, czego nie mogła dowiedzieć się Małgosia, lecz to było widoczném że ich obecność miała związek z tajemnemi rozmowami pani Doradour i jéj syna. Była w tém jakaś tajemnica niepodobna do odgadnięcia; Małgosia przeczuwała jednak że ona zniszczy jéj szczęście. Sądziła z początku że te dwie damy były krewne, lecz

świadczono im zanadto wiele grzeczności ażeby to być mogło. Podczas przechadzki, pani Doradour okazywała matce, jak daleko rozciągały się mury parku, mówiła z nią pocichu o dochodach i wartości gruntów; może był zamiar przedania włości Honville, a w tym przypadku, cóżby się stało z rodziną Małgosi? Nowy właściciel czyli zatrzymałby dawnych dzierżawców? Lecz z drugiéj strony, jakiż powód mogła mieć pani Doradour do sprzedania domu, w którym się urodziła, który się jéj synowi zdawał podobać, kiedy ona tak wielki posiadała majątek? Nieznajome przybywały z Paryża, mówiły o nim bez przestanku, i nie zdawały się mieć wielkiego upodobania w wiejskiém życiu. Pani de Vérceles wspomniała przy wieczerzy że ma przystęp do cesarzowéj Józefiny w Malmaison, i że jest u niéj w łaskach. Może być że chodzi o wyższy stopień dla Gastona; a w takim przypadku, wszelkie pochlebstwa dla kobiéty będącéj w znaczeniu, byłyby bardzo naturalnemi.

Takie były domysły Małgosi;jéj umysł jednak nie był zadowolony, a serce nie dozwalało jéj zatrzymać się ani na chwilę nad jednem przypuszczeniem podobném do prawdy, które zarazem było jedynie zupełnie prawdziwém.

Dwoch służących wniesło z wielkim trudem pakę drewnianą do pokojów, które zajmowała panna de Vercelles. W chwili kiedy Małgosia wyszła z pokoju, usłyszała głos fortepianu; pierwszy raz w życiu podobne dzwięki uderzyły o jéj uszy; co się tycze muzyki znane jéj były tylko śpiewy z jéj wioski. Zatrzymała się pełna uniesienia. Panna de Vercelles grała walca, potém zaczęła śpiewać; Małgosia przybliżyła się pocichu do drzwi aby mogła usłyszeć słowa, lecz słowa te były w języku włoskim. Słodycz nieznanego języka zdawała się Małgosi bardziéj osobliwą, niżeli harmonija instrumentu. Co to jest za piękna panna, co wymawia takie tajemnicze słowa, wśród tak dzikwnéj melodji?Zwyciężona ciekawością,schyliła się, przetarła oczy, gdyż w nich łzy jeszcze były i zajrżała przez dziurkę od klucza. Ujrzała pannę de Vercelles w rannem ubraniu, ręce o-

bnażone, włosy w nieładzie, z ustami napół otwartemi, i z oczami w niebo wzniesionemi. Mniemała iż widzi anioła; nigdy cóś tak zachwycającego nie przedstawiło się jéj wzrokowi. Oddaliła się powoli, olśniona tym widokiem i i zmięszana zarazem; nie mogła pojąć co się w niéj działo. Lecz schodząc po schodach powtórzyła nie raz głosem wzruszonym. N. Panno, co za cudowna piękność!

VI.

To szczególniejsza, że w rzeczach tego świata, ci najbardziéj się mylą, których one najwięcéj obchodzą. Z zachowania się Gastona przy pannie de Vercelles najobojętniejszy świadek byłby odgadł, iż on w niéj był zakochany. Jednakże Małgosia nie spostrzegła tego z począ-

ku, albo raczéj nie chciała widzieć. Mimo zmartwienia jakiego doznawała, niewytłumaczone uczucie, które wielu uzna m że za niepodobne do prawdy, wstrzymywało ją długo od dociekania prawdy: chcę mówić o uwielbieniu jakiém przejęta została dla panny de Vercelles.

Panna de Vercelles miała jasne włosy, była wysoką i uprzejmą. Ona potrafiła więcéj niżeli podobać się; jéj piękność jeżeli wolno się tak wyrazić, była pocieszającą. I w istocie, w jéj mowie panowała jakaś spokojność, tak osobliwa i tak słodka że nie podobna było oprzeć się przyjemnemu urokowi, jaki sprawiała jéj obecność. Po upływie kilku dni okazywała dla Małgosi wiele przyjaźni; sama pierwsze kroki do zbliżenia się zrobiła. Nauczyła ją niektórych sekretów chaftarstwa, na przechadzce brała ją pod rękę, prosiła ją aby śpiewała swe wiejskie pieśni i towarzyszyła sama na fortepjanie. Te oznaki uprzejmości tém większe zrobiły wrażenie na Małgosi że ona miała serce zranione. Od trzech dni już prawie żyła w okrutném

opuszczeniu, kiedy młoda paryżanka zbliżyła się i pierwszy raz do niéj przemówiła. Małgosia zadrżała z ukontentowania, bojaźni i zdziwienia; ona cierpiała widząc się zupełnie zapomnianą przez Gastona i zaczęła domyślać się przyczyny. Postępek ten jéj rywalki miał dla niéj jakiś niepojęty wdzięk, do którego zarazem gorycz się mięszała; zaraz z początku spostrzegła z radością że wyjdzie z zapomnienia w jakiém pogrążona została tak nagle, i pochlebiało jéj to że potrafiła zwrócić na siebie uwagę tak pięknéj osoby. Piękność ta, która powinna stać się dla niéj przedmiotem zazdrości, oczarowała ją pierwszemi zaraz słowami. Gdy powoli zbliżyła się bardziéj do panny de Vercelles, pokochała ją namiętnie. Z początku uwielbiała jéj twarz, potém jéj chód, jéj miłą prostotę, jéj wdzięczne poruszenia głowy, aż do najmniejszéj wstążki jéj stroju. Nie spuszczała ją z oczów i słuchała ją z nadzwyczajną uwagą. Kiedy panna de Vercelles siadała do fortepjanu, błyszczące spojrzenia Małgosi zdawały się mówić do wszystkich; otóż ma grać moja dobra przy-

jaciołka, gdyż tak ona ją nazywała, nie bez wewnętrznego zadowolenia próżności. Kiedy przechodziły razem przez wieś, wieśniacy obracali się za niemi; panna de Vercelles nie zważała na to, lecz Małgosia rumieniła się zukontentowania. Prawie co rano odwiedzała przed śniadaniem swą dobrą przyjaciółkę, pomagała jéj w ubieraniu się, przypatrywała się, jak ona myła swe białe ręce, słuchała jéj śpiewania w słodkim języku Włochów. Potém schodziła znią razem do salonu, dumna iż zachowała w pamięci kilka arjetek, które nuciła po schodach. Z tém wszystkiem zmartwienie ją pożerało, i kiedy była sama, to płakała.

Pani Doradour zanadto była lekkiego umysłu aby mogła uważać na tę zmianę w swéj córce chrzestnéj. — Zdaje mi się że ty jesteś bladą, mówiła niekiedy do niéj; czyli nie spałaś do brze? Potém nie czekając odpowiedzi zajmowała się czém innéni. Gaston jaśniéj rzeczy widział; i kiedy zadał sobie tę pracę i ż myślał o tém, nie mylił się względem smutku Małgosi; lecz mówił sobie, że to zapewne ka..

prys dziecinny, cokolwiek zazdrości wrodzonéj kobiétom, i że to przejdzie z czasem. Trzeba uważać że Małgosia unikała zawsze wszelkiéj sposobności spotkania się z nim bez świadków. Drżała na samą myśl znajdowania się z Gastonem sam na sam i kiedy przechadzając się samotnie zobaczyła go zdaleka, wracała się natychmiast; tak dalece, że ostrożność z jaką starała się ukryć swą miłość, zdawała się być młodzieńcowi skutkiem dzikiego jéj charakteru. Szczególniejsza dziewczyna! mówił do siebie często widząc jak ona uciekała, kiedy chciał się do niéj przybliżyć, i aby zabawić się jéj pomięszaniem, przystępował niekiedy do niéj niespodzianie. Małgosia spuszczała natenczas głowę, odpowiadała jednozgłoskowemi wyrazami i zwijała się, że tak powiem, sama w siebie jak czułek, owa roślina, która za dotknięciem zwija swe listki.

Dnie upływały w nadzwyczajnéj jednostajności; Gaston nie chodził na polowanie, grywano mało, wychodzono z domu rzadko, przepędzano czas jedynie na rozmowie, i dwa albo trzy

razy na dzień pani Doradour przestrzegała Małgosię aby się oddaliła, gdyż jéj obecność była na przeszkodzie towarzystwu. Biédne dzięcie schodziło tylko ze swego pokoju nadół i wchodziło do niego napowrot. Jeżeli zdarzyło się jéj kiedy wejść do salonu nie w porę widziała natenczas że dwie matki ostrzegały się skinieniem, i wszyscy milczeli; kiedy ją przywołano po długiéj tajemnéj rozmowie, siadała w milczeniu, a niespokojność, którą czuła, podobna była do téj, jakiéj doznajemy na morzu, kiedy chmura przepowiadająca burzę ukaże się zdaleka i postępuje powoli po spokojném niebie.

Pewnego poranku kiedy przechodziła około drzwi panny de Vercelles, ona ją zawołała. Po kilku obojętnych słowach, Małgosia spostrzegła na palcu swéj dobréj przyjaciółki piękny pierścień.

— Przymierz go panna, zobaczemy czy ci w nim będzie ładnie, rzekła panna Vercelles.

— Ach! pani, moje ręce nie są dosyć białe do takich klejnotów.

— Dajże pokój, przecudnie ci w tym pierścieniu. Podaruję ci go w dniu mego szlubu.

— Czy pani masz iść za mąż? spytała drżąc Małgosia.

— Być może? odpowiedziała panna de Vercelles, my, panny, powinnyśmy być na to przygotowane co dzień.

Łatwo sobie wyobrazić w jakie pomięszanie wprawiły te wyrazy Małgosię, powtarzała je tysiąc razy w dzień i w nocy, lecz prawie machinalnie, nie śmiejąc nad nim i rozważać. Kiedy jednak, wkrótce potém przyniesiono kawę po wieczerzy i Gaston podał jéj filiżankę, odsunęła ją lekko i rzekła: Pan mi to dasz w dzień ślubu swojego. Młodzieniec uśmiechnał się, zdawał się być cokolwiek zdziwionym i nic nie odpowiedział, lecz pani Doradour zmarszczyła brwi i prosiła z nieukontentowaniem Małgosi, aby się nie mięszała do tego, co do niéj nie należy.

A tak więc to, czego Małgosia pragnęła i obawiała sie dowiedzieć, nabrało w jéj oczach

przez wspomnioną okoliczność zupełnéj pewności. Pobiegła aby zamknąć-się w swym pokoju, wsparła czoło na rękach i płakała gorszko. Skoro przyszła do siebie, zasunęła drzwi żeby nikt nie był świadkiem jéj boleści, i zamknięta w ten sposób, uczuła się wolniejszą i zaczęła powoli rozważać nad tém, co się działo w jéj duszy.

Małgosia pomimo tak młodego wieku i szalonéj miłości jaka ją opanowała, miała jednak wiele zdrowego rozsądku, niepodobieństwo walczenia ze zrządzeniem losu przedstawiło się nasamprzód jéj umysłowi. Zrozumiała że Gaston kochał pannę de Vercelles, że obie rodziny porozumiały się, i że małżeństwo było już postanowione. Może tylko dzień szlubu nie był jeszcze oznaczony; przypomniała sobie że widziała w bibljotece człówieka czarno ubranego, który pisał na papiérze stęplowym; był to zapewne notarjusz układający umowę przedślubną. Panna de Vereelles była bogatą, Gastón po śmierci matki powinien być nim także; cóż ona by mogła poradzić prze-

ciwko postanowieniom tak naturalnym i tak słusznym? Zatrzymała się nad tą myślą, i im więcéj ją zgłębiała, tém jaśniéj przekonywała się o nieprzezwyciężonych zawadach. Nie będąc w stanie przeszkodzenia temu związkowi, osądziła iż nic jéj więcéj nie pozostaje, jak tylko nie być świadkiem tego małżeństwa. Wyciągnęła z pod łóżka należący do niéj tłomoczek i umieściła go na środku swego pokoju aby włożyć w niego swoje rzeczy, w zamiarze powrócenia do rodziców; lecz zabrakło jéj odwagi; zamiast otworzenia tłomoczka, siadła na nim i zaczęła płakać. Pozostała tak przez godzinę prawie, w stanie prawdziwie godnym litości. Myśli, które zpowodowały jéj początkowy zamiar, pomięszały się w jéj głowie; łzy płynące z oczu wzrok jéj zaćmiły, wstrząsnęła głową, jakby chciała się ich pozbyć, i kiedy siliła się napróżno nad powzięciem stałego postanowienia, apostrzegła iż się jéj świéca dopalała. Nagle pogrążona została w zupełnéj ciemności, podniosła się, otworzyła drzwi aby zażądać światła;

lecz już było późno i wszyscy już spali. Wyszła jednak macając koło siebie, gdyż nie sądziła aby już tak późna była godzina.

Kiedy przyszedłszy do schodów przekonała się iż także były ciemne, i że sama, że tak powiem była w całym domu, opanowało ją uczucie przestrachu właściwe jéj wiekowi. Przebyła już długi korytarz prowadzący do jéj pokoju i stała nad schodami, nie śmiejąc wrócić się na powrót. Zdarza się niekiedy że okoliczność na pozór małoznacząca, zmienia bieg naszych myśli, ciemność najczęściéj wydaje taki skutek. Schody w Honville znajdowały się w małéj wieżyczce jak to widzieć można w wielu starych budynkach, i zapełniały ją zupełnie, wijąc się około słupa kamiennego. Małgosia w swéj niepewności, wsparła się na tym słupie, którego zimno połączone z bojaźnią i zmartwieniem ścięło krew w jéj żyłach. Stała jakiś czas nieruchoma, i smutna myśl zabłysła w jéj głowie; osłabienie jakiégo doznała zdało się jéj być wyobrażeniem śmierci, i rzecz dziwna, myśl ta, która przez kilka chwil tyl-

ko trwała i natychmiast potém znikła, przywróciła jéj siły. Schroniła się do swego pokoju i pozostała w nim aż do dnia. Skoro słońce się pokazało, zeszła do dnia. Jesień w tym roku była bardzo piękna; liście już pożółkły wydawały się jakby złocone, nie spadały jeszcze same z gałęzi a wietrzyk spokojny i ciepły zdawał się szanować drzewa w Honvilles. Nadchodziła właśnie pora w któréj ptaki ostatnie swéj miłości czynią sobie wyznanie. Małgosia nie postąpiła jeszcze tak daleko, lecz dobroczynne światło słońca przyniosło niejaką ulgę jéj boleści. Wspomniała o swoim ojcu, o swéj rodzinie, o religji, i powróciła do swego pierwszego zamiaru, aby powrócić do rodziców i znosić cierpliwie swe położenie. Wkrótce, nie sądziła go tak koniecznym, jak się to jéj w wilją zdawało, mówiła sobie, iż nic przecież tak złego nie zrobiła, aby wygnaną została z miejsc tych, w których upłynęły jéj dni najszczęśliwsze. Wyobrażała sobie iż może tam pozostać, nie bez boleśnego wprawdzie uczucia, lecz cierpiąc daleko mniéj, niżeli gdy-

by się oddaliła. Zagłębiła się w ciemne ulice parku, już to postępując wolnym krokiem, już biegnąc z całéj siły, potém zatrzymała się i rzekła do siebie: Kochać, jest to wielka rzecz; trzeba miéć wiele odwagi aby kochać. Ten wyraz kochać, i to przekonanie iż nikt nie domyślał się nawet jéj namiętności, zrodziły w niéj pomimowolnie nadzieje, — czego? — ona sama nie wiedziała, i dla tego właśnie nadzieja łatwą była dla niéj. — Swą drogą tajemnicę uważała za skarb ukryty w sercu, i nie mogła skłonić się aby go wyrwać ztamtąd, postanowiła go zachować w niém, i strzedz jak najtroskliwiéj, chociażby na zawsze miał być tam zagrzebany. Na przekór rozumowi złudzenie wzięło górę, i ponieważ ona kochała jak dziécię, zmartwiwszy się jak dziécię, pocieszyła się równie tak samo. Myślała o jasnych włosach Gastona, o oknach przy ulicy Perche, usiłowała przekonać się, że małżeństwo nie było jeszcze zawarte, i że ona mogła źle sobie wytłómaczyć słowa swéj matki chrzestnéj. Położyła się pod drzewem i

wkrótce zasnęła, znużona cierpieniem i bezsennością. Południe już było, gdy się obudziła; obejrzała się naokoło zaledwie przypominając sobie swe zmartwienia; lekki szelest doszedł do jéj uszu, odwróciła głowę i spostrzegła Gastona i pannę de Vercelles idących ku niéj. Byli sami i nie mogli widzieć Małgosi ukrytéj w gęstwinie grabiny. W środku ulicy panna de Vercelles zatrzymała się i usiadła na ławce, Gaston stał przez kilka chwil patrząc się na nią z czułością, potém zgiął jedno kolano, pochwycił ją w swe objęcia i złożył na jéj ustach pocałowanie. Na ten widok, Małgosia zerwała się bez przytomności, i nie wiedząc sama gdzie dąży, uciekała ku wsi spiesznie.

VII.

Od czasu jak Piotrusiowi nie powiodło się to wielkie przedsięwzięcie aby zostać służącym pana Gastona, co dzień stawał się smutniejszym. Pociechy Małgosi zadowoliły go na chwilę, lecz zadowolenie to nie trwało dłużéj, jak zapasy żywności, któremi naładował swe

kieszenie. Im więcéj myślał o swéj ukochanéj Małgosi, tém mocniéj czuł iż żyć zdala od niéj nie może, a mówiąc prawdę, życie jakie pędził w folwarku nie było tak roskoszne aby go mogło rozerwać, otóż tego samego dnia, w którym nasza bohaterka oddała się rozpaczy, szedł zatopiony w marzeniach brzegiem rzeki, i pędził swe jędyki. W tém spostrzegł prawie o sto kroków przed sobą kobiétę, która biegła co jéj tchu starczyło i zniknęła w pośrodku wierzb ocieniających rzekę. Zdziwiło go to i wprawiło w niespokojność, pobiegł także aby doścignąć tę kobiétę, lecz skoro przybył na miejsce, w którém ona zniknęła mu z oczu, na próżno jéj szukał po przyległém polu; sądził że weszła do młyna znajdującego się w bliskości; jednakże szedł ciągle za biegiem rzeki ze złowieszczém przeczuciem w sercu. Rzeka l'Eure wezbrała dnia tego w skutek obfitych deszczów, i fale wydawały się Piotrusiowi który i tak nie był wesoły, smutniejszemi jeszcze jak zazwyczaj. Zdawało mu się wkrótce iż spostrzegł coś białego poruszającego się w trzcin

nie, przybliżył się i położywszy się na brzuchu nad brzegiem rzeki przyciągnął do siebie trupa, w którym poznał swoję Małgosię; nieszczęśliwa dziewczyna nie dawała żadnych znaków życia; była nie ruchoma, zimna jak marmur, oczy otwarte i osłupiałe.

Na ten widok, Piotruś tak głośne krzyki zaczął wydawać, iż zbiegli się ludzie znajdujący się we młynie. Boleść jego była tak gwałtowna, iż miał zamiar z początku rzucić się także w wodę aby umrzéć obok jedynéj istoty, którą kochał. Przypomniał sobie jednak że mu powiadano iż śpieszny ratunek może przywrócić do życia zotoniętego człowieka. Wieśniacy utrzymywali w prawdzie że Małgosia była nieżywą bez ratunku, lecz on im nie wierzył, niepozwolił złożyć ciała we młynie, lecz go wziął na barki i zaniósł do chaty, w któréj mięszkał. Po drodze, szczęśliwym przypadkiem spotkał wiejskiego lekarza, który przejeżdżał na koniu do swych chorych w okolicy, zatrzymał go i prosił aby wstąpił do jego chaty dla przekonania się czy pozostaje jeszcze jaka nadzieja. Le-

karz był tego samego zdania co i wieśniacy; skoro tylko ujrzał trupa, zawołał: Ona zupełnie nie żyje, trzeba ją tylko pogrzebać; ze stanu w jakim znajduje się ciało sądzę, iż ono przeszło kwadrans pod wodą zostawać musiało, Poczém lekarz wyszedł z chaty i mając zamiar wsiąść na konia dodał, trzeba udać się do wójta aby spisał protokół wymagany przez prawo.

Piotruś nie tylko kochał namiętnie Małgosię, lecz był oprócz tego bardzo uparty; wiedział on iż nie mogła pozostawać w rzecę przez kwandras, gdyż ją widział, kiedy się w nią rzuciła. Pobiegł więc za lekarzem i zaklinał go na imie Boga aby się nie oddalał dopóki się nie przekona iż wszelki ratunek jest bezskuteczny.

—I jakiż ratunek chcesz ażebym jéj udzielił? zawołał lekarz zniecierpliwiony, nie mam z sobą ani jednego potrzebnego instrumentu.

— Ja pójdę po nie do pańskiego domu, odpowiedział Piotruś; powiedz mi pan tylko

co takiego potrzeba i zaczekaj tu na mnie; ja wkrótce powrócę.

Lekarz, który spieszył się do swych chorych, ugryzł się w usta za głupstwo jakie popełnił wspomniawszy o instromentach; chociaż był przekonany że śmierć była zupełną, wiedział jednak iż nie może wymówić się od sprobowania jakiegokolwiek ratunku, gdyżby ściągnął przez to na siebie naganę całéj okolicy i naraził swoję wziętość.

— Idź więc i spiesz się, rzekł do Piotrusia, weźmiesz pudełko blaszane, które ci da moja gospodyni i przyniesiesz go tutaj, tymczasem obwinę ciało kołdrami i sprobuję nacierań. Staraj się zarazem dostać popiołu, który trzeba będzie ogrzać; lecz to wszystko na nic się nie zda, stracę tylko czas napróżno, dodał wzruszając ramionami i tupnąwszy nogą. — No! spiesz się! czy rozumiesz co ci powiedziałem?

— Tak jest, panie, rzekł Piotruś, i ażebym prędzéj stanął, jeżeli pan pozwoli, wezmę konia pańskiego:

I nie czekając pozwolenia lekarza wskoczył na konia i zniknął.

W kwadrans późniéj powrócił galopem z dwoma wielkiemi workami popiołu.

— Widzisz pan że nie straciłem czasu, rzekł pokazując konia, który ledwie dychał, nie bawiłem się rozmową, nie powiedziałem do nikogo ani słowa, pańskiéj gospodyni nie było w domu, ja sam wszystko sprawiłem.

— Niech cię djabli porwą! pomyślał lekarz, już mój koń ma dosyć na cały dzień dzisiejszy; i mrucząc pod nosem zaczął dmuchać za pomocą instrumentu swego w usta biédnéj Małgosi, a Piotruś tymczasem nacierał jéj ręce. Rozpalono ogień; kiedy popiół był gorący rozsypano go na łóżku w ten sposób, że całe ciało zakryte nim zostało. Lekarz wlał kilka kropel likworu na usta Małgosi, potém wzruszył głową i wydobył zégarek:

— Przykro mi jest, rzekł, lecz nie trzeba aby umarli szkodzili chorym; czekają na mnie bardzo daleko, muszę oddalić się.

— Gdyby pan chciał pozostać jeszcze pół godziny, dałbym mu talara, rzekł Piotruś.

— Nie, mój chłopcze, to niepodobna, nie chcę twoich pieniędzy.

— Otóż talar, odpowiedział Piotruś kładąc go w rękę lekarzowi i nie uważając na to, co on mówił. Był to cały majątek biédnego chłopca, wydobył z pod siennika wszystkie swoje oszczędności, a lekarz wziął je, czego się łatwo domyśléć.

— No, dobrze, jeszcze pół godziny, lecz potém odjeżdżam niezawodnie, gdyż jak widzisz, wszystko na nic się nie zdało.

Po upływie pół godziny, Małgosia ciągle zimna i skościała nie ukazywała żadnego znaku życia. Lekarz pomacał puls, potém mając zamiar zakończyć z nią, wziął laskę i kapelusz i zmierzał do swego konia. Piotruś nie mając już pieniędzy i widząc że wszelkie prośby nie skutkowałyby, wyszedł za lekarzem z chaty i stanął przed koniem w téj saméj spokojn

postawie, co owego dnia kiedy zatrzymał Gastona w dworskiéj alei.

— Co to ma znaczyć, spytał lekarz, czy chcesz abym spał tutaj?

— Nie, odpowiedział Piotruś, lecz trzeba aby pan pozostał jeszcze przez pół godziny, tymczasem koń wypocznie sobie. Mówiąc to trzymał w ręku tyczkę i spoglądał na nią w tak dziwny sposób iż lekarz wszedł trzeci raz d chaty, lecz tym razem nie przymuszał się wcale. Przeklęty upór! krzyknął, ten hulta pozbawi mnie dukata i 6 fr.!

— Panie, odpowiedział Piotruś, powiadają że po sześciu godzinach można powrócić do życia

— Nigdy, kto ci to powiedział! nic więcéj nie braknje, jak żebym przepędził sześć godzin w téj budzie!

— I pan je tutaj przepędzisz, te sześć godzin, mówił daléj Piotruś, albo wezmę za pańskiém pozwoleniem to pudełko, te rurki, wszystko a skoro się przypatrzę jeszcze przez

parę godzin, jak pan będziesz pracował, to się nauczę ich używać. Lekarz naprożno się rzucał, trzeba było chcąc nie chcąc pozostać jeszcze przez całe dwie godziny. Po upływie tego czasu sam Piotruś rozpaczać zaczął i wypuścił swojego więźnia. Pozostał natenczas sam przy łóżku nieszczęśliwéj, w ponurym smutku pogrążony; przepędził tak resztę dnia nie ruszając się z miejsca, z oczami wlepionemi w Małgosię. Skoro noc nadeszła, podniósł się i sądził iż czas był, aby zawiadomić starego Piédeleu o śmierci jego córki. Wyszedł z chaty i zamknął drzwi za sobą: zamykając zdawało mu się iż usłyszał słaby głos wzywający go po imieniu; zadrżał, pobiegł do łóżka, lecz wszystko było w zupełnéj spokojności, chwila jednak nadziei była dostateczną do spowodowania go aby pozostał na miejscu. Pójdę jutro rano, rzekł do siebie i usiadł znowu przy łóżku.

Wpatrując się uważnie w Małgosię, zdało mu się nagle iż spostrzegł zmianę w jéj twarzy. Sądził że gdy się oddalił od niéj, zęby jéj ścięte były, a teraz usta jéj były w połowie

otwarte, pochwycił natychmiast za instrument lekarza i usiłował wciskać powietrze jak on w usta Małgosi, lecz nie umiał sobie poradzić; rurka nie przystawała zupełnie do pęcherza. Piotruś dął bez przestanku, a powietrze uchodziło, wlał kilka kropel ammoniaku na usta choréj, lecz nie mogły dostać się do gardła, pochwycił znowu za instrument, lecz wszystko nie powodziło się. Jakież głupie instrumenta! zawołał nareszcie zmordowany, do niczego posłużyć nie mogą. Rzucił instrument, pochylił się nad Małgosią, przyłożył do jéj ust swoje, i w ostatniém wysileniu rozpaczy, dmuchając z całéj siły swych mocno zbudowanych płuc, potrafił wprowadzić powietrze w piersi dziewczyny; w téj saméj chwili popiół poruszył się, ręcę umierającéj podniosły się i opadły na szyję Piotrusiowi. Małgosia wydała głębokie westchnienie i zawołała, zimno, zimno. — Nie, tobie nie zimno, odpowiedział Piotruś, ty okryta jesteś dobrym ciepłym popiołem. — Masz słuszność, dla czego mnie tu położono? — Tak tylko, Małgosiu, ażeby ci lepiéj było. Jakże

się czujesz teraz? — Nie źle, jestem tylko cokolwiek znużoną. Pomóż mi abym się mogła podnieść.

Stary Piédeleu i pani Doradour zawiadomieni przez lekarza, weszli w téj chwili, kiedy Małgosia w połowie obnażona i wsparta niedbale na ręku Piotrusia połykała łyżkę wody wiśniowéj.

— No proszę, cóżeście to mnie śpiewali? zawołał starzec. Czy wiecie że to nie fraszka powiedziéć komu że jego córka umarła! Nie trzeba żartować, do stu piorunów! bo to nie ujdzie tak na sucho!

I pochwycił w objęcia swoję córkę: Ostrożnie, kochany ojcze, rzekła uśmiechając się, dopiero od kilku chwil nie jestem już umarłą.

Nie potrzebuję opisywać zdziwienia i radości pani Doradour i całéj rodziny Małgosi, która wkrótce zebrała się; Gaston i panna de Vercelles przybyli także, a pani Doradou

wziąwszy na stronę starego Piédeleu, zaczęła dorozumiéwać się, o co chodziło. Domysły, które zapóźno czynili, wyjaśniły rzecz całą; kiedy starzec dowiedział się że miłość była przyczyną rozpaczy jego córki, i że o mało nie opłaciła życiem swój pobyt u matki chrzestnéj, zaczął przechadzać się tam i napowrót po stancji przez jakiś czas:

— Nic sobie nie jesteśmy winni, rzekł raptownie do pani Doradour. Wiele pani byłem dłużny, lecz i wiele zapłaciłem; wziął potém za rękę swą córkę, zaprowadził w róg chaty pokazując prześciéradło, które miało służyć jéj do grobu, rzekł: Weź to, i jeżeli jesteś uczciwą dziewczyną, zachowaj dla mnie, a sama nie myśl nigdy więcéj o topieniu się. Przybliżył się potém do Piotrusia i uderzywszy go po ramieniu rzekł: Powiédz waść, co to umiész tak dobrze dmuchać w usta dziewcząt, czyliż nie trzeba żebym ci oddał talara, którego dałeś lekarzowi? — Jeżeli łaska, i owszem, życzyłbym sobie żeby mi oddano talara, lecz nie chcę

nic więcéj, pan mię rozumiesz? nie dla tego żebym był dumny lecz... — No, no mój chłopcze! odpowiedział starzec klepiąc go powtórnie po ramieniu, zabaw się teraz trochę z twoją chorą.



VII.

Dziesięć lat upłynęło. Wypadki wojenne 1814 roku zakryły Francją wojskami nieprzyjacielskiemi. Jeden oficer ciężko raniony opuściwszy korpus dowodzony przez jenerała Gerard, wyjechał z Etampes na drogę do Beauce. Zaledwie mógł utrzymać się na koniu;

wycieńczony na siłach i znużony drogą zastukał pewnego wieczoru do drzwi folwarku pięknéj powierzchowności i żądał aby mógł przenocować. Po dobréj wieczerzy, dzierżawca nie mający więcéj jak 25 lat wieku, przedstawił mu swoję żonę, młodą i ładną wieśniaczkę, prawie równego wieku, a już matkę pięciorga dzieci. Oficer, gdy spostrzegł ją wchodzącą, krzyknął z zadziwienia, a ładna dzierżawczyni powitała go z uśmiechem.

— Jeżeli się nie mylę, rzekł oficer, wy byliście za pannę towarzyszkę przy pani Dorardour, i wasze imie Małgorzata?

— Tak jest, do usług pańskich, i jeżeli mam dobrą pamięć, to mam zaszczyt mówić do pułkownika, hrabiego Gastona z Hoovilles. Oto Piotr Blanchard, mój mąż, któremu wir nam życie; uściskaj panie hrabio moje dzieci, to jest wszystko, co pozostało z rodziny, która tak długo i wiernie służyla pańskiéj.

— Czy podobna? odpowiedział oficer, z braćmi cóż się stało?

— Polegli pod Champaubert i Montmirail

rzekła dzierżawczyni głosem wzruszonym; a ojciec nasz od sześciu lat już na nich oczekiwał.

— I ja także, rzekł oficer, utraciłem matkę, przez tę jednę śmierć utraciłem tyle co i wy. Mówiąc to otarł łzy spływające z oczu.

— No, Piotrusiu, dodał wesoło obracając się do męża i wyciągając ku niemu swoję szklankę, wypijmy na cześć zmarłych, mój przyjacielu, i za zdrowie twoich dzieci! są przykre chwile w życiu; trzeba je umieć znosić!

Nazajutrz, opuszczając folwark, oficer podziękował za gościnność, i w chwili kiedy wsiadał na konia, nie mógł wytrzymać aby nie powiedział do dzierżawczyni: A twoja miłość dawniejsza, Małgosiu, czy przypominasz sobie o niéj?

— Na uczciwość, panie hrabio, odpowiedziała Małgosia, ona pozostała w rzece.

— I za pozwoleniem pańskiém dodał Piotruś ja nie pójdę wcale wyłowić ją ztamtąd.

ZAUSZNICE.

W przeszłą sobotę, pan Richard, młody malarz, którego talent znanym być zaczyna, przechodząc przez ulicę Vivienne o drugiéj godzinie po południu, spotkał we drzwiach sklepu jubilerskiego, p. Eugienjusza de Fresnes, jednego z najbogatszych modnisiów stolicy, swego szkolnego

kolegę. P. de Fresnes spojrzał jeszcze raz na zakupione klejnoty, zamknął śpiesznie pudełko, schował je do kieszeni, i przybliżył się do młodego malarza; lecz ten miał jednak czas przypatrzyć się dwóm przepysznym brylantom, które, jak się on słusznie domyślał, składały parę wspaniałych zausznic. W szkołach równie jak i na świecie nie kochamy wszystkich tych, z któremi żyć jesteśmy przymuszeni; równie przyjaźń jako i nienawiść ma miejsce. Richard nie lubił swego kolegę; miał on młodą i ładną żonę, w któréj szalenie był zakochany, i od niejakiego czasu spotykał często pana de Fresnes w bliskości swojego domu. Nie można powiedzieć żeby to niepokoiło młodego malarza; lecz obudził się w nim pewien rodzaj instynktowéj zazdrości, do któréj rzecz najmniejsza może być nam powodem przeciwko człowiekowi bogatszemu, piękniéjszemu, a niekiedy nawet dowcipniejszemu i przyjemniejszemu od nas. Richard podał jednak rękę panu de Fresnes,

który przyjął go z uśmiechem na ustach.

— Ach,, dzień dobry, rzekł, jak mnie się zdaję, powoli staniemy się zupełnie obcemi dla siebie? Widujemy się tak rzadko, że wkrótce zupełnie znać się nie będziemy. Cóż porabiasz? .. Jesteś sławnym malarzem, to wiem.. Pójdź więc do mnie, mój przyjacielu; przedstawisz mię w swoim domu i odnowiemy nasze dawne stosunki .. U mnie zabierzesz znajomości takie, mój Richardzie, które będą ci użyteczne.......

Skoro już rozmowa weszła raz w taką koléj przyjacielską, toczyła się ciągle w ten sposób; modniś oświadczał się coraz bardziéj z swą przyjaźnią a Richard zapomniał wkrótce o swoim wstręcie. Skoro się rozłączyli, pan de Fresnes ofiarował swemu dawnemu koledzę krzesło w teatrze francuzkim na nową sztukę, przyrzekli sobie widzieć się wieczorem, jeżeli p. de Fresnes będzie mógł przybyć do teatru; o czém on jednak wcale nie wątpił.

Richard zajmował drugie piętro w jednym z domów nowego okręgu d'Antin, gdzie tylu artystów obrało sobie zamieszkanie; na pierwsze piętro wprowadziła się nie dawno młoda kobiéta, którą zaledwie miał sposobność poznać z widzenia, a na trzeciém piętrze, w pokoiku przyległym jego pracowni, mięszkała młoda, żywa gryzetka, któréj zaloty nudziły męża tak wiernego i rozkochanego jak on. Panna Irma wszystkich środków używała aby zwrócić na siebie uwagę artysty, który, podług jéj zdania, nie powinien być bardziéj sumienny jak ona.

— Ta dziewczyna w złą się porę wybrała, mawiał niekiedy do siebie Richard; że mi się téż nie zdarzyła podobnie szczęśliwa okoliczność jakem był kawalerem!

Zjadł obiad z pośpiechem, uściskał swą żonę i udał się do teatru. Pierwsze przedstawienie zawsze zajmuje; czy sztuka jest zła czy dobra, każdy, a zwłaszcza artysta zwraca swą uwagę na akcją i grę rysów twarzy aktorów, bada prawdę i efekt ubiorów. Skoro

podniesiono zasłonę, Richard nie myślał już o swoim przyjacielu, którego nieobecność uderzyła go z początku, i wyszedł nawet z teatru nie widząc go wcale.

Już była północ, kiedy powrócił do swego pomieszkania; wszyscy służący jego już spali; w jadalnéj sali leżał na stole marmurowym, obok swiécy, dziennik wieczorny a pod niego wsunięty był mały bilecik. Zabrał to wszystko i udał się do sypialnego pokoju. Jego żona już spała. Richard nie budząc ją spoglądał na nią z dumą i uczuciem. Pani Richard była bardzo piękną, a oprócz tego, wiemy że namiętnosć podwyższa jeszcze wszelkie przymioty w osobie ukochanéj

— To pewna, rzekł młody malarz półgłosem, aby nie przerywać snu tego anioła; możnaby zwidzić Paryż, Londyn, Berlin i całą Rossją, możnaby przebiedz roskoszne Włochy, Hiszpańją, tak sławną pięknością swych córek, a nie możnaby znaleść piękności tak doskonałéj jak twoja, moja najdroższa Klementyno! Co za czarujące wdzięki! Twe piękne oczy są

zamknięte, twe ładne usta nie mówią, a więcéj masz jeszcze powabów, nawet bez blasku twych oczu i bez harmonijnego i aksamitnego dzwięku twego głosu, od tych wszystkich kobiét które widziałem w teatrze jaśniejące strojem i djamentami.

Po téj przemowie, rzucił jeszcze raz spojrzenie na stoliczek żony, i gdy chciał zagasić świecę nie troszcząc się o swój dziennik i o sprawy Europy, spostrzegł mały bilecik, o którym zapomniał także. Wziął go i spiesznie przeczytał. Pismo było nie kształtne i ortografja nie bardzo poprawna, któréj jednak tu nie zachowujemy.

„ Jak powiadają, posiadasz pan piękną żonę; ona wyszła dzisiaj wieczorem, w kilka chwil po panu, i powróciła zdwiema pysznemi zausznicami brylantowemi: czy to je pan jéj kupiłeś?

Wprawdzie pani Richard pragnęła oddawna podobnego ubrania, lecz artysta znajdował się w jednéj z tych chwil przykrych, kiedy odźwierny w bramie stojący stoje się konie

cznym powiernikiem chwilowéj przykrości I wie że rewers nie był zapłacony w terminie i że kilku wierzycieli z niczem odprawiono; tajemny autór listu musiał się gdzieś w bliskości znajdować i spodziewał się pewno że Richard nie kupowałby w podobnéj chwili brylbntów dla swéj żony. Oskarżenie było wręcz wyraźne przeciwek Klementynie, a dla niego dotkliwy przyjaciel. Położył list i wzrok swój wlepił w Klementynę. Młoda małżonka spała głęboko. Lewa strona jej twarzy wsparta na poduszcze, czarne i błyszczące się jéj włosy przykryte były nocnym czepeczkiem z batystu podwiązanym pod brodą który zasłaniał zarazem jéj uszy, lecz na lewym policzku dostrzegł Ryszard cień rzucony przez jakieś ciało nieznane, przyłożył rękę i uczuł pod palcami przedmiot okrągły i twardy. Wziąwszy świecę ujrzał ogień dwóch brylantów błyszczących przez przezroczystą tkankę batystu.... Żadné wątpliwości, tajemna przestroga była prawdziwą Nagle myśl okrutna zabłysła w jego głowie, w całem świetle oczywistości... Brylanty! — Jego

żona pragnęła ich od dawna, wyszła wkrótce po nim, nie uprzedziwszy go o tém, powróciła wystawiając na widok powszechny ten strój nowy, nie zdjęła go wprawdzie kładąc się do łóżka, lecz ukryła pod czépeczkiem, który spadał jéj nawet aż pod brodę, kiedy ona tylko ekko się zwy kle ubiérała!.... Brylanty!

— O nieba! p. de Fresnes kupował w ciągu dnia takie same zausznice, i dosyć niezręcznie schował swój sprawunek, kiedy się spotkali; od miesiąca już kręcił się koło jego domu, dał mu bilet do krzesła aby go oddalić, a sam nie pokazał się w teatrze!

Bez żadnéj wątpliwości, zdradzono go, oszukano; jego szkolny kolega i żona złączyli się dla okrycia go hańbą; nieszczęśliwa miała nawet śmiałość wnieść do łóżka małżeńskiego nagrodę swych związków nieprawych; te brylanty były tam, przed jego oczami, mógł je dostać w swe ręce. Chciał z początku wyrwać e brylanty z uszów swojéj żony, pobiedz do pana de Fresnes, rzucić mu w oczy nieszczę-

sne klejnoty, wyrządzić mu jednę z tych z niewag, które dają chwilowo zwłokę nienawiści i powiedzieć:

— Teraz mogę czekać, rozprawiemy się kiedy pan będziesz żądał.

Lecz w pojedynku los siła,zręczność możeby'się nie znajdowały ze strony słuszniejszéj,a w takim razie, ta nieszczęśliwa pędziłaby życie spokojne z swym kochankiem; gdyż są kobiéty tak przewrotne że potrafią przytłumić w sobie wszelkie 'wyrzuty, wygładzić z serca swego wszelkie wspomnienia. Lepiéj więc zacząć swą zemstę od téj zdrajczyni. Wyciągnął rękę ponad łóżka i uchwycił za jeden z tych sztyletów tureckich jakiemi malarze lubią przyozdabiać swe pokoje; rzucił pochwę z daleka od siebie i obejrzał ostrze starannie, nareszcie zwrócił swe spojrzenie na żonę,która pogrążona była ciągle we śnie głębokim.

— O Boże! rzekł do siebie, ona śpi jakby żadna zbrodnia nie ciążyła na jéj sercu, ona śpi jak wierna małżonka, jak sypiala przez ów miesiąc miodowy, ktory był dla nas tak piękny i tak długi!

Szukał okiem miejsca, w które miał uderzyć i wyobrażał sobie ostatni krzyk swéj ofiary, usta sine, rysy zmienione, oczy osłupiałe, zagasłe; widział krew broczącą poduszkę, białą pościel i jego ręce. Skoro się zemści, miał pobiedz do swego rywala i przymusić go do walki; gdyby został zabity, wszystkoby się skończyło; gdyby przeciwnie on zabił swego przeciwnika, cóżby zrobił? Uciekłby, zmieniłby swe nazwisko, udałby się do Anglji, Niemiec, ścigany zbrodnią żony, która przymusiła go do rozlewu krwi, i do zrzeczenia się tego, co najwięcéj kochał na świecie! Już trwał w postanowieniu zabicia jéj, już chciał tylko uderzyć ją w twarz sztyletem aby zadać szeroką ranę która zostawiłaby po sobie ślad na całe życie i świadczyła przed wszystkiemi:

— Oto w taki sposób zemścił się mąż téj niewiernéj małżonki.

Gdyby pan de Fresnes poległ, onby pojechał, opuścił Francją; lecz uciekać samemu, bez rodziny, nie mając ani jednéj osoby, któraby kochał! on tego nie chciał, on nie miał siły do tego. Wspomniał natenczas mimowolnie

może na pannę Irmę, tę czułą gryzetkę, która podzieliłaby pewno jego wygnanie. Mężczyzna potrzebuje wspierać się zawsze na jakiém uczuciu, i skoro traci lub zrywa jedne związki, pogląda zaraz z upragnieniem na nowe. Jednak sztylet ciągle był wzniesiony nad uśpioną małżonką; i gdy wściekłość Richarda powiększała się jeszcze bardziéj przez tę uwagi usłyszał na dole głos dobrze mu znany;

— Proszę otworzyć.

Był to pan de Fresnes, który, jak myślał Richard, pozostał w tym domu, dokąd przyszedł wieczorem, i wychodził teraz sądząc że zwiedziony małżonek zasnąć już musiał. Wyskoczyć z łóżka, wziąść szlafrok i pantofle, rzucić się na schody, było dla artysty dziełem jednéj chwili.

— Panie de Fresnes! zawołał. P. de Frenes! jedno słowo, jedno słowo tylko!

Znajdował się już w sieni, kiedy drzwi od ulicy zamknęły się za jego szkolnym kolegą. Młoda kobiéta strojnie ubrana, z lichtarzem srebrnym w ręku, stanęła przed nim.

— Pan chcesz się widziéc z panem de Fresnes?

— Tak jest, pani, proszę mię puścić...

— Bardzo trudno będzie panu dogonić go,

rzekła młoda kobiéta uśmiechając się; on jest w kabrjolecie swoim, a pan w pantoflach; — prędzéj będzie biegł od pana.

— Ja go doścignę, czy prędzéj czy późniéj' on mi się nie wymknie.

— Pan żartujesz bez wątpienia, mój sąsiedzie; lecz pójdź pan, zrób mi ten zaszczyt, wstąp do mnie i wytłumaczemy się: wszystko co się tycze pana de Fresnes nie jest mi obcém. Czy go pan już znasz dawno?

— Od dzieciństwa, pani.

— Ach! ja wiem, to szkolny przyjaciel.

— Tak jest, pani, to... przyjaciel...szkolny.

Zadając takie pytania, wprowadziła młoda kobiéta Richarda na pierwsze piętro, do swoich pokojów, poprosiła go aby usiadł przy stole na którém kurzył się srebrny samowar, i nalewając herbatę w filiżanki rzekła:

— Ach! pan jesteś jego szkolném przyjacielem! A tak więc pierwszy się pan dowiesz o tém, co on nazywa swojém szczęściem. Nasze małżeństwo jest już postanowione, pobierzemy się za trzy dni.

— Pani go zaślubisz? — pani?

— Tak jest, mój sąsiedzie, ja. Lecz cóż pan chcesz! mam tą słabość iż wierzę jego przysięgom, i słucham ich z upodobaniem. Jestem wdową od lat dwóch, wdomą po starym mężu,

a cokolwiek bądź mówią, stan ten ma swoje niedogodności. P. de Fresnes sześć lat jest starszy ode mnie; cokolwiek za młody, powiesz pan, dla kobiéty 22 lat mającéj; lecz on oddawna daje mi dowody prawdziwego przywiązania, i byłabym bardzo wymagającą, gdyby teraźniejszość nie zaspokoiła mię względem przyszłości. Teraz powiedz mi pan, co żądasz od niego? Widzisz pan że możesz mi to powiedziéć. W każdym razie, jutro będziesz pan mógł go zastać u mnie.

— Czyli pani ręczysz honorem że zaślubisz pana de Fresnes, i że on ma do pani prawdziwe przywiązanie?

— Pańskie zadziwienie pobudza mię do śmiechu, mój sąsiedzie... Lecz czemu się pan przypatrujesz z taką uwagą? Ach! moje zausznice; masz pan słuszność; nie widziałam brylantów piękniejszéj wody i lepiéj rzniętych. Otóż, mój sąsiedzie, jeden dowód mojego małżeństwa, one miały składać część podarunków przedślubnych, pan de Fresnes przyniosł mi je dzisiaj wieczorem, i skoro tylko je zobaczyłam, nie chciał ich wziąść napowrót, lecz sam włożył mi je w uszy.

— Pan de Fresnes przepędził dzisiejszy wieczór u pani?

— On jadł obiad u mnie i opuścił mię dopiero w téj chwili.

Richard uściskał za szyję młodą wdowę.

— Dobranoc, moja sąsiadko, do widzenia.

I pobiegł śpiesznie po schodach do swego mieszkania.

— Co to za dziwny człowiek, mój sąsiad! pomyślała wdowa, ci malarze wszyscy są podobni do siebie.

Głośne wejście Richarda do pokoju obudziło Klementynę.

— Ach! to ty, mój przyjacielu, rzekła; jakże późno powracasz! czy dobrze się bawiłeś w teatrze? czy sztuka dobra była? opowiesz mi ją, i jeżeli chcesz pokazać się grzecznym, zaprowadzisz mię na drugie przedstawienie,... aby tylko sztuka nie upadła...no, cóż na to mówisz?

Riszard zawstydzony włożył sztylet do pochwy i starał się nieznacznie powiesić go nad łóżkiem. Klementyna zaś odwiązała różowe wstążki czépeczka nocnego —Mój przyjacielu, zrobiłam dzieciństwo, och! wielkie dzieciństwo, —będziesz mię łajał—Patrz, kupiłam te zausznice brylantowe. Podniosła garnirowanie swego czépka i pokazała dwa ciała okrągłe i twarde, których dotknięcie sprawiło tak wielką burzę w sercu Richarda i o mało nie spowodowało wielkiego nieszczęścia

—Nie będziesz się gniewał na mnie, wszak" że prawda?..

— No, przebacz mi.. a nadto nie zniszczyłam cię, to mnie kosztuje tylko 30 franków; to są djamenty fałszywe.

Nazajutrz rano udał się Richard na górę do panny Irmy i będąc pawnym że znajdował się w obliczu téj, która spotwarzyła jego żonę:

— Panno, rzekł pokazując jéj list, który odebrał w wilją, odjeżdżam z moją żoną na wieś; przepędziemy tam 8 dni, spodziéwam się że mi panna oszczędzisz téj przykrości, abym był przymuszony zwierzyć komukolwiek boleśne okoliczności dla panny, i że nie będziesz już naszą sąsiadką, skoro powrócemy.

SPIS RZECZY



W TOMIE IX. ZAWARTYCH.

Stron.

Małgosia . . . . . 3.
Przyjaciel pana de Forbin . . 113.
Zausznice . . . . . 202.